W NUMERZE: Wizyta w domu Jarosława Iwaszkiewicza ■ Gucia czyli paradoksalny fenomen czyli nasza polemika ■ K. Pogorzelec w Będominie ■ Sekrety „Enigmy" rozszyfrowuje tym razem A. Blajer ■ Laureaci nagród miasta Łodzi ■ Recenzje ■ Felietony ■ O polityce — W. Sławski, J. Czech

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 8 (1107) ROK XXII 25 LUTEGO 1979 R. CENA 3 ZŁ

Jarosław Iwaszkiewicz 85 LAT życia 67 LAT twórczości

patrz strona 2 i 8

POCHYLENIE JESIENI

RYSZARD BINKOWSKI

Dookoła biało, zasypane pola i lasy, na śniegu więcej tropów zwierząt, niż odcisków ludzkich stóp; głodne i szaleńczo odważne zające ogryzają w sadach korę z pni. Od jedynej odśnieżonej drogi, na której między wysokimi zwałami śniegu z trudem mieści się samochód, idzie się do Pawełczyków przez sad, płytko odgarniętą starczymi rękami ścieżką, w pochyleniu, żeby nie zawadzić głową o niskie korony starych drzew. Solidny dom z czerwonej cegły stoi zazwyczaj cichy, chłodny, jak gdyby zastygły w tęsknym oczekiwaniu, lecz dzisiaj trochę tam weselej i cieplej, ponieważ przyszła w odwiedziny wnuczka. Siedzi na taborecie pod kredensem, młoda, ciemnooka, pogodna, w modnie podwiniętych brązowych spodniach i kozaczkach, i przysłuchując się rozmowie, zaciska z zakłopotaniem smukłe palce o lakierowanych paznokciach.

Droga do Woli Zaradzyńskiej zawiana, trzeba chodzić przez pola do sklepu w Czyżeminku i jak wczoraj Pawełczyk tam był, strasznie się umęczył, bo kilka razy upadł, a raz w ogóle nie mógł się poruszyć, gdyż jedna noga ugrzęzła aż za kolano, a druga płyciej...

Szczepan Pawełczyk, szczupły, ogorzały, z gładko przylegającymi do małej czaszki rzadkimi, szpakowatymi włosami, zaciągając się sportem w grubej, żółtej dulawce, wspomina ze wzruszeniem najważniejsze fakty ze swego życia i w jego głosie, wciąż dźwięcznym i wyrazistym, pobrzmiewają tony łagodnej rezygnacji, zgorzkniałego humoru i rozumnej uległości wobec przemijania. Powiada na przykład, że tak naprawdę, to ludzie interesowali się nim tylko raz, w czerwcu 1955 roku. Biegli wówczas przez pola do Nowej Woli z Sereczyna, Gospodarza, Czyżeminka i z Woli Zaradzyńskiej, ażeby popatrzeć, jak znika w płomieniach jego drewniany dom, podpalony z ciekawości i dla zabawy przez dwóch kilkunastoletnich chłopaków.

W ciągu długich lat wspólnego pożycia małżonkowie upodobnili się także pod względem fizycznym; Pawełczykowa jest trochę drobniejsza od męża, twarz ma nieco delikatniejszą i bledszą, a na tamto smutne wspomnienie wzdycha z cichą, suchą, dawno wygasłą żałością:

— Ten chłopiec mówił, że najpierw rzucił dwie zapałki, ale nie chciało się zająć. No to połączył pięć zapałek, potarł, rzucił na dach i zapaliło się... Głupie, bezmyślne dziecko... On nie wiedział, co to za nieszczęście. Nie miał pojęcia, że skazuje nas na wiele lat zmartwienia, nerwów i ciężkiej pracy. A myśmy też nie wiedzieli, że ten cały trud może pójść na marne...

— Ano tak — kiwa smutno głową Pawełczyk. — Kto to mógł przewidzieć? Ale ja byłem dobrym gospodarzem, miałem więcej siły i lepszą głowę niż inni. Inni nie dali rady, a ja postawiłem nowy dom i budynki inwentarskie. Cegły dali mi pięć tysięcy, z tego można tylko kominy postawić. Udałem się tu i tam, trochę załatwiłem, trochę pokombinowałem, jeździłem po nocach i zdobyłem materiały. Raz przy wódce, gdy mogłem jeszcze wypić, zgadałem się z kominiarzem o drewnie, które przywiozłem przez las, aż spod Dłutowa. Bele takie — stuka poczerniałym, zgiętym palcem w ramę okienną — że do dziś dzwoni. Pozaciągałem długi, ale jakoś wywinąłem się z biedy...

Budował z trudem nowy dom nie tylko z myślą o własnej wygodzie, lecz i po to, aby udowodnić, że jest naprawdę dobrym gospodarzem i żeby syn się nie wstydził, że mieszkają w nędznie skleconej ruderze.

Syn mógł im zapewnić spokojną, dostatnią starość...

W odległości około stu metrów od zagrody Pawełczyków widnieją czerwone mury dużego domu i pięknych zabudowań gospodarczych. Puste obejście czeka na nowego właściciela, który załatwia jeszcze formalności ze sprzedażą swojego starego gospodarstwa w innej miejscowości.

Dalszy ciąg na str. 3

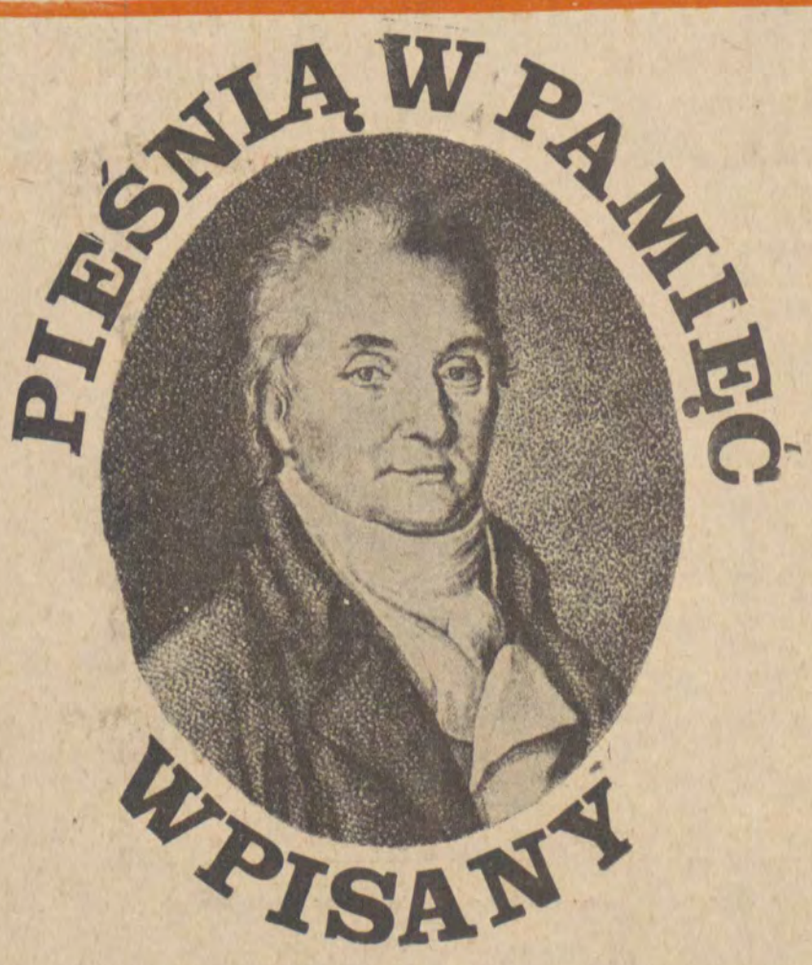

Z Kościerzyny trzeba wykręcić na Skaryszewy, a później puścić się bocznym, na wpół leśnym traktem, który zimą bez kłopotów nie przejedziesz, chyba, że saniami. Wreszcie, u krańca drogi, z czarnych teraz akacji i lip wyłania się kilka zabudowań. To tutaj 232 lata temu przyszedł na świat Józef Wybicki, który do swojego życiorysu, obok tytułów kościuszkowskiego generała, szambelana króla Stanisława Augusta, konsyliarza generalnego Konfederacji Barskiej, współorganizatora Legionów we Włoszech, nade wszystko wpisał miano ojca hymnu Polaków...

KRZYSZTOF POGORZELEC

Ktoś ładnie i mądrze napisał: z pamięcią jest jak z fortuną — jednych wynosi wysoko, a innych równie godnych wawrzynu, trzyma w cieniu zapomnienia. Trzeba niekiedy szczęśliwego zbiegu okoliczności, albo i przypadku, by przebić ciszę i upomnieć się o należne miejsce nie tylko w świadomości, choćby nawet wielu, ale również w Panteonie pamiątek całego narodu.

Zbyt długo trwała też tutaj cisza, niekiedy tylko mącona rozgwarem dzieci i młodzieży, codzienną krzątaniną, przypadkową wizytą, no i zapobiegliwym staraniem tych, którzy zawsze głęboko wierzyli, że to się odmieni, a dla dworku dziś krytego czerwoną dachówką nadejdą lepsze, godne tego miejsca czasy. Bo nie gdzie indziej, lecz właśnie tutaj, w będomińskim dworku, urodził się Józef Wybicki — twórca pieśni, co hymnem stała się wszystkich Polaków...

Dalszy ciąg na str. 4

85 LAT

Foto: A. Wach

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

... myślę, że kult języka jest tym spoiwem, które łączy w jedno naszą tradycję i naszą współczesność (...) Nasza kultura w ogóle jest par excellence kulturą literacką. Nasza filozofia, nasza sztuka, nasza myśl ostatnich sześćdziesięciu lat miała charakter literacki. Wzorce naszego działania, bodźce naszych czynów były literackie. Było to przekleństwem naszej polityki. Było jednocześnie specyficzną cechą naszej kultury narodowej.

Toteż nie wydaje mi się, aby się należało tej cechy wyrzekać, wyklinać ten swoisty charakter naszej działalności, który nie tylko jest swoistym spoiwem, ale i osobliwym materiałem tworzywa naszych dziejów, wyróżnikiem zupełnie osobliwego gatunku.

Esencją naszego bytu w ciągu sześćdziesięciu lat całej naszej twórczości był zawsze romantyzm. Cokolwiek by się dało na ten temat powiedzieć, jest to zasadnicza linia ciągła naszej kultury: jest to jednocześnie linia naszego życia. Linia przetrwania i linia przyszłego rozwoju.

Słowa te napisał Jarosław Iwaszkiewicz przy okazji okolicznościowej ankiety, ale przecież nie sama okoliczność spowodowała te patetyczne nieco, lecz i w swym patosie jakże prawdziwe, sformułowania o roli języka, literatury w dziejach naszego narodu. Jeśli komukolwiek pogląd Iwaszkiewicza wyda się przesadzony, to i tak nie powie, nie mógłby powiedzieć, że Iwaszkiewicz samym sobą i całym sobą nie zaświadcza wiary w prawdziwość swych słów.

Choć przecież zna pisarz granice możliwości tworzywa, jest ich od dawna świadom, czuje, jak bohater „Pasji Błędomierskich", rozziew między tym co jest, a tym, co jest napisane, między znakiem i znaczeniem, intencją i spełnieniem.

Swoją wielką przygodę ze sztuką rozpoczął 85-letni dziś pisarz nieudanymi zalotami do muzyki. Próbował pisać — komponować. Miłość pozostała niespełniona, ale nie wygasła przecież. Ileż muzyki w całej jego twórczości literackiej — nie tylko w jej tematach, w tle, w imponderabiliach, ale w samej istocie i strukturze pisarstwa. Znać też w jego dziele fascynację malarstwem, rzeźbą; nie tylko fascynację — niekiedy i jakby zazdrość, że pisarz nie może spełnić tego, co może kompozytor, malarz.

Związek Iwaszkiewicza z literaturą wydaje się więc być związkiem z wyboru, kiedy to się zna wady partnera, a jednak...

Całe pisarstwo Jarosława Iwaszkiewicza świadczy o walce z tworzywem, o dążeniu do niespełnialnej doskonałości. Motyw niespełnialności, bezradności, nie raz się pojawia w jego utworach, ale nie jako wyraz intelektualnej mody, jak to często bywa, lecz głębokiego przeżycia, przeżywania ciągle od nowa tej bolesnej prawdy.

Chyba dlatego Jego twórczość jest tak żywa, tak ludzka w swych dramatach; dlatego przyciąga wielu, choć i odpycha niektórych, między innymi i tych, którzy by chcieli widzieć w literaturze łatwą receptę na życie, fotograficzną kalkę, lub spis modeli — atrap. Dlatego też chyba, ponieważ jej bramy nie są zamknięte, a niedookreślenia tkwią w jej filozofii, bywa ta twórczość płodna inspiracją dla telewizji, filmu — tak to było z Kawalerowiczem, tak jest z Wajdą.

Stary poeta, debitant z 1912 roku („Młodość Pana Twardowskiego"). Starszy pan o posturze arcypolskich bohaterów literackich, o powściągliwym, przy pierwszych zetknięciach sposobie bycia, jakby z lekkim dystansem usprawiedliwionym wysokością na jakiej nosi swoją głowę, wydobywa słowa niespiesznie, z namysłem. Bywa też, że się zapala, gdy go coś poruszy — temat, sprawa. Wtedy mówi szybciej, zaczyna artykułować z większym naciskiem. To wszystko. Kiedy się zasępia, bruzdy orzą jego twarz, ale gdy zdarzy się, że się uśmiecha, twarz śmieje się cała, oczy się rozświetlają.

Nie jest i nie był tylko pisarzem, zamkniętym w legendarnym domu w Stawisku. Dom ten stał się podczas okupacji azylem środowiską artystycznego, literackiego. Azylem, stołówką, kasą — w dużej mierze czerpiącą z rodzinnego majątku. Serdeczny, ale i surowy opiekun młodzieży literackiej, przez długie lata redaktor „Twórczości", autor cotygodniowych felietonów literackich w „Życiu Warszawy". Autor „Panien z Wilka", „Pasji Błędomierskich", „Sławy i chwały", „Czerwonych tarcz", „Lata w Nohant", tomów opowiadań i wierszy, tłumaczony na wiele języków, a i sam znający wiele, nie żałuje czasu na rozmowę o literaturze z czytelnikami gazet codziennych... To Panu Jarosławowi zostało chyba jeszcze z lat międzywojnia, kiedy także gazetę pisarze traktowali, jako arenę swych wypowiedzi, wiedząc, że tam właśnie znajdą natychmiastowy rezonans czytelniczy.

I wreszcie Jarosław Iwaszkiewicz — działacz społeczny, poseł na Sejm, działacz ruchu obrońców pokoju, laureat Nagrody Leninowskiej „Za utrwalanie pokoju między narodami". A także — prezes od wielu, wielu lat, ba, dziesięcioleci, Związku Literatów Polskich. A więc także dyplomata, jako, że niełatwo być prorokiem... zwłaszcza, gdy są powody do tego, aby u niektórych powodować niechęć, choćby postawą, dorobkiem, twórczym, społecznym uznaniem.

Na stronie 8 — Szacowny Jubilat w otoczeniu swego domu i ze swymi wierszami. 20 lutego ukończył 85 lat życia.

JERZY KATARASIŃSKI

Odwiedzając z Czytelnikami dom Pana twórczości, najserdeczniej życzymy dalszej owocnej pracy. Życzymy tego Panu, ale przecież i egoistycznie — dla siebie...

LAUREACI NAGRÓD MIASTA ŁODZI 1979

ZBUDUJEMY TEN OBIEKT...

Rozmowa z mgr inż. arch. JANUSZEM WYŻNIKIEWICZEM

— Panie inżynierze pozwoli pan że na wstępie złożę panu w imieniu kierownictwa redakcji gratulacje z okazji otrzymania Nagrody m. Łodzi — 1979 i życzę panu dalszych sukcesów w pracy.

— Dziękuję.

— Czy spodziewał się pan tego wyróżnienia?

— Nie. Było dla mnie zaskoczeniem.

— Jak długo pracuje pan w charakterze projektanta?

— Dwadzieścia dwa lata.

— To ile ma pan lat panie inżynierze?

— Czterdzieści osiem.

— Nie do wiary! Wygląda pan na trzydzieści osiem.

— To widocznie sport utrzymuje mnie w takiej kondycji.

— Pana specjalność?

— Projektowanie obiektów służby zdrowia przede wszystkim szpitali.

— Od razu po studiach zaczął pan specjalizację w tej dziedzinie?

— O nie. Nim zainteresowało mnie projektowanie szpitali intensywnie uprawiałem sport i pasja sportowca skłoniła mnie do projektowania obiektów sportowych. Moim dziełem z tego czasu jest trybuna ŁKS i hala sportowa, za które otrzymałem odznakę Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej. Poza tym wykonaliśmy także projekty hali treningowej dla ŁKS, halę dla AZS i UŁ w rejonie ulicy Lumumby, przy stadionie AZS.

— Lubi pan te obiekty?

— Bardzo. Mam dla nich moc sentymentu, przede wszystkim dla trybun i stadionu ŁKS oraz dla hali sportowej tego klubu. Cały ten obiekt zaprojektowaliśmy wspólnie z inż. Szklarkiem. Wykonawca orzekł jednak, że jest to obiekt trudny do wykonania, że się tego nie da zrobić, i tamtego się nie da zrobić, i że w ogóle nic się nie da zrobić. Taka wielka niemoc. Więc inż. Szklarek, znakomity konstruktor, posiadający predyspozycje architektoniczne zatrudniony w naszym Biurze, powiedział: „To ja pójdę na kierownika budowy i zbuduję ten obiekt!".

— I?...

— I rzeczywiście zwolnił się z pracy w Biurze i został kierownikiem budowy. We dwójkę — on jako kierownik budowy, ja z ramienia Biura jako autor i prowadzący nadzór autorski, zbudowaliśmy ten obiekt. Pierwszy raz w życiu spotkałem się z takim „wypadkiem przy pracy". Mieliśmy na tej budowie różne perypetie, i poważne, bo zastosowaliśmy tam nowe elementy konstrukcyjne, i blahe, i nawet humorystyczne.

— Na przykład.

— Inż. Szklarek trzymał na budowie dwa barany, po prostu zawsze lubił zwierzęta, których jednak musiał się pozbyć. Z dnia na dzień przemieniły się w górskie kozice, zaczęły chodzić po rusztowaniach i kiedy się ktoś nachylał, natychmiast taranowały. Stały się nawet niebezpieczne. A potem był ul pszczeli i poszukiwania roju, który zawędrował aż na Zdrowie. Budowa na tym nie ucierpiała, a było trochę urozmaicenia. Natomiast mieliśmy duże kłopoty z Instytutem Techniki Budowlanej w Warszawie, ale wszystko skończyło się dobrze. Za projekt obaj otrzymaliśmy wysokie wyróżnienie Głównego Komitetu Kultury Fizycznej.

— Czy nadal leżą panu na sercu projekty obiektów sportowych?

— Oczywiście. Wykonaliśmy niedawno projekt hali sportowej dla ŁKS, który został już zresztą przyjęty. Obecnie pracujemy nad projektem technicznym lodowiska w hali dla 5 tysięcy osób, również dla ŁKS. Ponadto robimy projekt rozbudowy trybun na boisku ŁKS dla około 45—50 tys. widzów. Mam wrażenie że już niedługo Łódź będzie się miała czym pochwalić. Projekt wykonaliśmy w taki sposób, żeby budowę realizować segmentami i nawet w warunkach ograniczonych środków finansowych. Zrobiliśmy także projekt hali sportowej dla AZS. Jako czynny niegdyś sportowiec muszę z przykrością powiedzieć, że sport studencki jest bardzo zaniedbany, brak mu bazy materialnej, nawet dla rozwijania sportu masowego. Dlatego też chętnie studentom pomagamy, mają jednak bardzo ograniczone środki.

— Projektował pan budownictwo mieszkaniowe?

— Kiedyś i zresztą bardzo krótko, ponieważ zafrapowała mnie bardzo trudna dyscyplina i bardzo mało znana w projektowaniu architektonicznym, a mianowicie szpitalnictwo. W projektowaniu szpitala działa się na styku wielu dziedzin nauki: nowoczesna organizacja, nowoczesna technika, nowoczesna technologia, nowoczesna łączność, najnowocześniejsza aparatura diagnostyczna i lecznicza. Wszystko to składa się na pojęcie współczesnego szpitala. Dochodzi do tego człowiek jako kruchy podmiot medycyny. Jest to pasjonująca praca, czego nie mogę powiedzieć obecnie o „mieszkaniówce".

— Ile czasu trwa budowa nowoczesnego szpitala?

— Około 10 lat.

— Czyli, jak zostanie wybudowany, nie jest już nowoczesny?

— Jest nowoczesny, ponieważ projektowanie i wybudowanie szpitala muszą mieć odpowiednie wyprzedzenie. Wiadomo, iż co pięć lat zmienia się pogląd na organizację działów w szpitalu, a co piętnaście lat zmienia się pogląd na organizację medycyny w ogóle. Dlatego zadanie, które stoi przed architektem jest wyjątkowo trudne, niekiedy bowiem nawet użytkownik nie zdaje sobie sprawy, jakie będzie miał praktyczne potrzeby w nowym szpitalu. Dopiero wchodząc w jego mury uświadamia sobie nagle ogrom błędów, jakie popełnił konsultując taki projekt z architektem. Dlatego też reżyserem całości tego dzieła — nowoczesnego szpitala — musi być, z racji swego zawodu, architekt. Krótko mówiąc — szpital buduje się z 10-letnim wyprzedzeniem potrzeb.

— Pański pierwszy szpital w Łodzi?

— To trochę później. Pierwszą moją pracą był projekt przebudowy szpitala im. Sonnenberga na Stokach. A pierwszym poważnym tematem o dużej skali był projekt szpitala im. Kopernika. Kosztował mnie dużo nerwów, ponieważ budowa tego szpitala była przykładem niewłaściwych oszczędności programowych. Rzecz miała miejsce kilkanaście lat temu, więc w czasie, gdy doraźne oszczędności górowały nad zaspokajaniem potrzeb perspektywicznych. W związku z tym użytkownik tego szpitala ma do dziś kłopoty z jego eksploatacją. Niemniej, jak na owe czasy, realizacja programu wypadła nie najgorzej. Był to pierwszy przyzwoity obiekt służby zdrowia w Łodzi. Projektowanie odbywało się w niesłychanym tempie, rysunki niemal wyrywano nam z rąk i dostarczano wprost na budowę. Mimo wszystko czas budowy „Kopernika" wspominam z pewnym sentymentem.

— Niezależnie od tych wszystkich trudności i kłopotów?

— Tak! Zresztą szpital jest zawsze bardzo trudnym tematem. Na przykład mój drugi szpital, szpital MSW przy ul. Północnej, choć był nieco mniejszy od „Kopernika", to jednak niesłychanie skomplikowany, i w projekcie, i w budowie z uwagi na bardzo trudne warunki lokalizacyjne. Była to niby modernizacja ale de facto budowaliśmy nowy szpital. Dokonywaliśmy karkołomnych wyczynów żeby zmieścić bardzo obszerny program szpitala na bardzo ograniczonej powierzchni. A mimo to zbudowaliśmy udany szpital zarówno pod względem rozwiązań funkcjonalnych, jak i pod względem technologicznym. Został on wysoko oceniony w skali kraju. Dostałem za ten szpital, wraz z zespołem, nagrodę resortową Ministerstwa Budownictwa.

— A największe pańskie prace życiowe, które dały panu największą sumę przeżyć i najwięcej satysfakcji zawodowej?

— Szpital Kliniczny w Poznaniu, Centrum Kliniczno-Dydaktyczne Akademii Medycznej w Łodzi i Szpital Pediatryczny w Łodzi zlokalizowany na Chojnach, w rejonie ulicy Paradnej. Założenia tego ostatniego są już zaopiniowane w Ministerstwie Zdrowia i jego budowa miała się zacząć w tym roku, ale prawdopodobnie będzie przesunięta na lata 1980—85 Jak powiedziałem już wcześniej, szpitale są w ogóle niesłychanie trudną dyscypliną projektowania, a już szpital dla dzieci w tej skali jest gdzieś na samym szczycie. Niezwykle ważną rolę w szpitalu dla dzieci odgrywa kwestia bariery infekcyjnej, niedopuszczenie do zakażeń wewnątrzszpitalnych. Jest to oczywiście także bardzo istotne w każdym szpitalu, ale w tym jest decydujące dla pracy szpitala w ogóle.

— Czy to duży obiekt? Nic się o nim nie mówi?

— Rzeczywiście, mało się o nim mówi, a nie przesadzę, jeśli powiem, że szpital pediatryczny na Chojnach będzie drugą największą inwestycją w kraju dla dzieci po Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Do naszego projektu włączyliśmy pewne nowatorskie propozycje i sądzę, że Łódź będzie miał nie gorszy szpital niż CZD.

— A szpital kliniczny w Poznaniu, o którym pan wspomniał?

— Ponieważ projekt budowanego obecnie w Łodzi Centrum Kliniczno-Dydaktycznego AM uznano za najlepszy w kraju, główny architekt Poznania zaproponował mi zaprojektowanie szpitala klinicznego dla poznańskiej AM. Zresztą w bardzo trudnych warunkach lokalizacyjnych. I taki projekt, wzbogacony o doświadczenia z łódzkiego Centrum AM, powstał już w naszej pracowni i czeka na ciąg dalszy" Ma on nieco inną strukturę. Uważam go za mój najlepszy projekt, jaki kiedykolwiek zrobiłem w życiu. Jest na poziomie co najmniej europejskim.

— Czy łódzkie Centrum Kliniczno-Dydaktyczne AM jest dużym zamierzeniem?

— Kolosalnym? Łodzianie nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Mając przed sobą skalę

Dalszy ciąg na str. 5

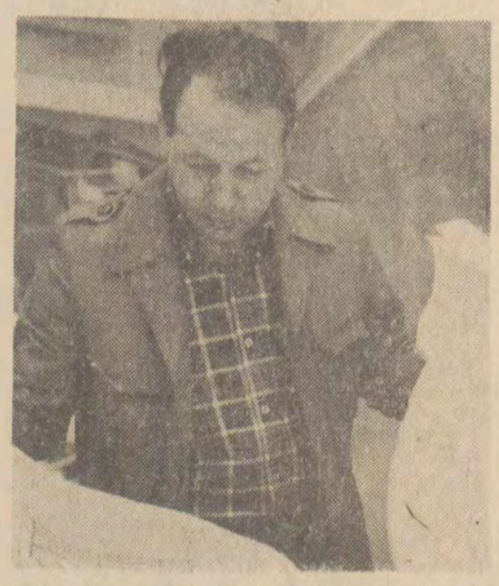

Foto: A. Wach

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI.

Mówiono o nim i pisano wiele i różnie. Jakżeż mogło być inaczej? Jak na przedstawiciela swej klasy, pan Marie — Joseph — Paul — Ives — Roch — Gilbert du Mortier, markiz de la Fayette, arystokrata o równie długim nazwisku, jak genealogii, miał zgoła nietypową biografię Przyjaciel George Washingtona, bohater Rewolucji Amerykańskiej, którego nazwiskiem chrzczono w Stanach dzieci, dowódca Gwardii Narodowej w dobie wielkiej Rewolucji we Francji, później więzień despotów, człowiek który faktycznie osadził na tronie Ludwika Filipa, by niebawem przejść do opozycji w stosunku do nowej monarchii, mianowany przez rząd powstania listopadowego członek honorowy polskiej Gwardii Narodowej, był postacią niezmiernie aktywną na najrozmaitszych polach, do której współcześni nie mogli mieć obojętnego stosunku

„Imię La Fayette'a w XIX wieku — powiada Zofia Libiszowska — związało się nierozerwalnie ze sprawą narodową i walką wyzwoleńczą uciskanych przez obcą przemoc. W Europie zniewolonej systemem Świętego Przymierza nie wahał się głosić „świętego związku narodów przeciw lidze królów". Był zawsze tam, gdzie stawką była wolność. Zwracano się o jego pomoc, ofiarowywano mu niejednokrotnie dowództwo powstańczych wojsk. Moralne przywództwo należało do niego Toteż pomimo upływu lat i zbliżającej się starości, sława jego nie gasła, lecz potężniała, budząc coraz więcej niechęci u rządzących i nadziei wśród uciśnionych".

Mimo że o La Fayetcie wiedziano u nas i pisano wiele — zwłaszcza ze względu na jego związki ze sprawami naszego kraju — w obfitej, wielojęzycznej literaturze o generale brakowało do niedawna opracowania które zaprezentowałoby polskiemu czytelnikowi całość jego sylwetki, zarys jego życia i działalności. Zadania tego podjęła się dopiero Zofia Libiszowska, która pokusiła się o opracowanie „całościowego portretu popularnego w naszym kraju bohatera dwu światów, domniemanego przyjaciela Tadeusza Kościuszki", ukazującego jego „zaangażowanie w przemianach swych czasów", jak również bliższe i dalsze skutki jego działalności. Zamierzając napisać książkę o

LA FAYETTE

charakterze popularyzacyjnym, autorka nie podjęła szerszych, pogłębionych badań źródłowych. Wobec istnienia obfitej literatury przedmiotu — głównie francuskiej i amerykańskiej — nie było to wcale potrzebne Należało jedynie — tak, jak uczyniła to właśnie Z. Libiszowska — „selekcjonować i adaptować to, co inni już wydobyli i ogłosili drukiem". Własnym badawczym wkładem autorki są rozrzucone po książce cytaty ze współczesnej La Fayette'owi polskiej prasy oraz korespondencji dyplomatycznej.

W rezultacie powstała niewielka książka, zatytułowana: „Żołnierz wolności — La Fayette", którą ogłosiło drukiem Wydawnictwo Łódzkie (1978) Powiedzmy od razu: powstała książka udana, napisana z talentem angażująca uwagę czytelnika, książka w której starannie wyważono proporcje między narracją o zmieniających się jak w kalejdoskopie wydarzeniach, a głębszą, ogólniejszą refleksją. Książka ta doczekała się starannego opracowania redakcyjnego i udanej formy edytorskiej w Wydawnictwie Łódzkim; okładka (projektu Hanny Stańskiej) jest doprawdy znakomita, gorzej jednak wyszły ilustracje; w egzemplarzu, który mam pod ręką, nie zawsze są czytelne.

Dobrze, że powstała ta sympatyczna książka. Postać La Fayette'a z całą pewnością zasługiwała na to, by ją przybliżyć współczesnemu polskiemu czytelnikowi. Była przecież ściśle związana z dziejami również i naszego kraju. Na wieść o śmierci La Fayette'a jeden z wybitnych działaczy Wielkiej Emigracji, generał Józef Dwernicki w odezwie do rodaków powiadał o wybitnym Francuzie: „Czym La Fayette był dla Francji, nie naszą rzeczą o tym przypominać, czym był dla świata, świat sam o tym powie. My Polacy, rzuceni na tę gościnną ziemię, słyszeliśmy zawsze z jego ust słowa pociechy i nadziei. Któż z nas go nie znał, któż z nas nie będzie go opłakiwał, któż nie odczuje tej olbrzymiej straty". Po dziś dzień młodzież w polskich szkołach, przerabiając na lekcjach języka polskiego mickiewiczowskie „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego" czyta o człowieku — obywatelu — żołnierzu, który „namawiał, aby zaprzestano wojować dla Interesu, a raczej broniono wolności bliźnich; i pojechał sam na wojnę do ziemi Wolności do Ameryki. Człowiek ten nazywa się La Fayette". Te słowa Adama Mickiewicza posłużyły za motto, otwierające tę książkę.

ANDRZEJ F. GRABSKI

POCHYLENIE JESIENI

Dalszy ciąg ze str. 1

— Bardzo liczymy na nowych sąsiadów — mówi Pawełczykowa — bo to ludzie przystępni, otwarci i życzliwi i w razie, nie daj Boże, choroby, na pewno nam pomogą. Jak dotąd w pobliżu nie ma nikogo, kto by pomógł w nieszczęściu. Na sąsiada Gabarć nie można liczyć, ponieważ sam leży chory. Tutaj nawet po wodę do studni trudno się dostać, stale zawiewa i zawiewa. I jak dźwigać wiadra przez taki śnieg?

Pawełczyk ma siedemdziesiąt siedem lat, jego żona siedemdziesiąt dwa...

Kiedy Pawełczykowa patrzy z podwórza na to sąsiednie puste obejście, jej drobna twarz szarzeje i kurczy się żałośnie, cienkie wargi zaczynają drżeć, a w małych bladoniebieskich oczach ukazują się łzy. Wspomnienie jest bliskie, zaledwie sprzed dwóch lat, ale tak przykre, że trudno jej o tym mówić.

Każda przykra anomalia życiowa napawa smutkiem i rozgoryczeniem, ale najboleśniejsza jest ta, gdy rodzice przeżywają dzieci...

W tamtym obejściu mieszkał wraz z rodziną i teściami syn, który miał przejąć także gospodarstwo po rodzicach, ale umarł na raka, gdy miał czterdzieści pięć lat. Teściowie sprzedali gospodarstwo i kupili córce i wnukom domek pod miastem, a Pawełczykowie zostali sami.

Wysłuchujący po raz wtóry tej historii Mirosław Czajka, instruktor służby rolnej w gminie Pabianice, młody człowiek o wrażliwych, ciemnych, połyskliwych oczach, nie kryje uczucia troski, rozterki i zakłopotania. On postąpił słusznie, kierując się sercem i życzliwą wyrozumiałością. Tego zresztą wymaga od wszystkich pracowników sekretarz Urzędu Gminy, mgr J. Ziółkowski, który jest zdania, że jeśli gmina utrzymuje na co dzień kontakt z mieszkańcami, a więc z życiem, to jej pracownicy nie mogą być urzędasami, lecz zurzędnikami; muszą najpierw pomyśleć, jak załatwić sprawę, a nie jak jej nie załatwić. I Mirosław Czajka, świadomy, iż poza sprawami technicznoprodukcyjnymi musi zajmować się w podległych sobie sześciu wsiach dziesiątkami drażliwych, kłopotliwych problemów ludzkich, osobiście zaangażował się w sprawę Pawełczyków.

— Gospodarstwo liczyło 3,40 ha gruntów ornych i 2 ha ładnego, trzydziestoletniego lasu. Gleby tutaj wyłącznie V i VI klasy, same piaski, dla tego też pan Pawełczyk część gruntu obsadził kiedyś lasem. Był świetnym rolnikiem, dbał o ziemię, dobrze uprawiał, co drugi rok nawoził obornikiem i dzięki temu, co jest czymś niezwykłym, z gruntu V klasy zbierał nawet piękny rzepak. Miał czym nawozić ziemię, ponieważ hodował konia, dwie krowy, drób i świnie, których co roku sprzedawał państwu po osiem — dziesięć sztuk. Jako jedyny we wsi odstawiał mleko do zlewni, po wycieleniach przeciętnie 22 litry dziennie. Kiedy zmarł syn — widząc, iż nie poradzą sobie już z prowadzeniem gospodarstwa, sam zaproponowałem im przekazanie ziemi za rentę. W starej ustawie o przekazywaniu ziemi była klauzula, która mówiła, że jeśli rolnik uzyskuje produkcję wyższą, niż średnia we wsi, renta może być zwiększona o 25 procent. Szczepan Pawełczyk spełniał te warunki i ja to wszystko opisałem. Liczyłem ponadto, że dwa hektary lasu zostaną wycenione na około czterysta tysięcy złotych, dzięki czemu renta będzie ustalona na przyzwoitym poziomie. Tymczasem przyjechał ekspert z Urzędu Miasta Łodzi i wycenił las na dwieście tysięcy. Pawełczykowie otrzymali rentę w wysokości 1300 zł...

Wszystko odbyło się zgodnie z przepisami, a mimo to rolnik czuje się pokrzywdzony, bo trudno sobie wyobrazić żeby dwoje ludzi mogło wyżyć z takiej renty. Nawet gdy mają pozostawione 0,5 ha, na dożywotnie użytkowanie, w tym kawałek sadu, z którego sami nie zbiorą owoców; ludzie przyjeżdżają, zbierają i płacą po tańszej cenie. Ale ta sprawa nie dotyczy tylko Pawełczyków, pokrzywdzonych, bowiem jest znacznie więcej. Tych, którzy „pośpieszyli się" z przekazaniem gospodarstw za rentę. W myśl najnowszej, po raz pierwszy ustanowionej w Polsce ustawy o powszechnym zabezpieczeniu emerytalnym rolników, warunkiem do uzyskania emerytury jest m. in. sprzedaż płodów rolnych dla państwa za 15 tys. zł w ciągu roku i wówczas emerytura wynosi 1500 zł.

Pawełczyk przekazał gospodarstwo przed wejściem ustawy w życie i dlatego, chociaż sprzedawał państwu mięso i mleko za 70 tys. zł rocznie, uzyskał rentę w wysokości 1300 zł, którą ostatnio podwyższono mu wprawdzie do 1450 zł, ale na dalszą podwyżkę będzie musiał jeszcze poczekać.

Mirosław Czajka jest człowiekiem młodym, którego nie oplotły jeszcze siecią pajęczą przepisy i który nie dał się wciągnąć w tryby biurokratycznej machiny. Ale nie przewidział, że inny urzędnik może okazać się człowiekiem bezdusznym. Ekspert bowiem zrobił tak, żeby państwo straciło jak najmniej, ale nie pomyślał o człowieku. On chyba w ogóle nie myślał, że decyduje o losie starych ludzi, dla których trzysta lub czterysta złotych mniej znaczy ogromnie dużo. On nie musiał o tym myśleć, ponieważ jest zatrudniony na państwowej posadzie, gdzie im pracownik starszy, tym więcej zarabia i wyższą uzyskuje emeryturę. Tymczasem jest sprawą oczywistą, że im rolnik starszy, tym mniej produkuje, a wysokość renty ustala się od średniej wartości artykułów sprzedawanych państwu w ciągu pięciu lat przed przejściem na emeryturę.

Czajka uważa, że były inne furtki wyjścia, żeby tę sprawę załatwić po ludzku i dlatego robi wszystko, aby ulżyć starym ludziom w ich trudnej sytuacji. Twierdzi, iż nie należy się bać odpowiedzialności przed przepisami, lecz odpowiedzialności przed ludźmi. I słusznie, bo jeśli czyni dobro człowiekowi, nawet w jakimś stopniu omijając przepisy, to nie może go za to spotkać żadna kara. Postarał się więc o zmniejszenie opłat ubezpieczeniowych za dom, o umorzenie podatków za ubiegły rok, a wspólnie z sołtysem, terenowym opiekunem społecznym, o załatwienie kwartalnych zapomóg w ZUS. Myśli również, aby uregulować sprawę gruntów o powierzchni 1,08 ha, które w geodezji figurują na nazwisko Pawełczyka, który płacił za nie podatki, ale przez wiele lat użytkował je sąsiad Klimek. Ta ziemia mogłaby również podnieść wysokość renty. Ponadto Czajka zezwolił Pawełczykom na trzymanie krowy, bez uiszczania koniecznych opłat, gdyż krowa jest obecnie ich główną podporą finansową.

Wydaje się, że w tym konkretnym przypadku nie powinno się ratować zapomogami i PKPS, lecz zastanowić się nad aktualizacją przepisów.

— Trochę mało tego grosza — mówi Pawełczyk. — Daleko od miasta i jak przywiozę 22 metry węgla, to muszę płacić 20 zł od metra za przywóz. Za konia przy robocie na tym kawałku pola też trzeba płacić. A węgla nie bardzo starcza, bo tam gdzie śpimy trzeba także napalić. Mogę sobie teraz tylko powspominać, jak byłem młody i silny. Wszystko razem z żoną samiśmy zrobili. Jak przyszły żniwa, wszystko kosą zrąbałem i na czas! A teraz to czasem myślę, że powinienem już umrzeć. Ale chyba do osiemdziesiątki dociągnę, jak mój ojciec...

— Przyjdzie twoja godzina, to umrzesz — stwierdza z szorstką naganą Pawełczykowa.

— I myślę też nieraz — ciągnie Pawełczyk — czy by nie odejść z tej Nowej Woli? Ale gdzie? Na komorne? Krowy ani kur nie wezmę ze sobą i będzie jeszcze gorzej. A tutaj żona usmaży na śniadanie dwa jajeczka na maśle i biedę się opęka. Mam w Łodzi jeszcze jednego syna, ale jemu trudno dotrzeć na to odludzie. Jest na kierowniczym stanowisku, zarabia osiem tysięcy, jednak do jego mieszkania w bloku już byśmy się nie zmieścili. Przeżyliśmy tyle z żoną na wsi, to i resztę wytrzymamy. W czerwcu będzie pięćdziesiąt lat od ślubu...

— No, to będzie w gminie uroczystość i medal.

— Poszedłbym, ale nie mam garnituru. Ale czy to takie ważne! Trzeba myśleć, żeby teraz nie umrzeć, bo tak śniegiem zawalone, że trumny by nie wynieśli...

Naczelnik Mirosław Krata nie jest władny, aby cokolwiek zmienić w sytuacji Pawełczyków. Ale popiera i będzie bronić instruktora Czajkę, bo sam jest również głęboko przekonany, iż starym ludziom należy pomóc. Naczelnik twierdzi, że generalnie rzecz biorąc, rolnicy są zadowoleni z rent i emerytur, zwłaszcza rolnicy przodujący, sprzedający państwu produkty żywnościowe nawet za milion złotych rocznie. Renty śmieszą i denerwują tylko bogatych ogrodników, znakomicie zabezpieczonych na starość. Ale naczelnik Krata widzi również wiele kłopotliwych, drażliwych problemów, wymagających szybkiego rozwiązania.

— Dzięki inicjatywie mgr Ziółkowskiego otrzymaliśmy niewielką pulę mieszkań w spółdzielni mieszkaniowej, które rozdzielamy między pracowników urzędu gminnego. Ziółkowski rozmawiał z dyrektorem spółdzielni na temat budownictwa spółdzielczego na wsi. Dyrektor oświadczył, że spółdzielnia mogłaby budować na wsi szeregowe, piętrowe budynki o niewielkiej powierzchni mieszkaniowej, z kwałkiem ogródka i standardowymi wygodami. Jest to kapitalna sprawa, gdyż dzięki temu rolnicy przechodzący na rentę nie byliby wyrwani ze środowiska i mieliby zapewnioną opiekę lekarską.

Sprawa jest o tyle ważna, że zarówno renciści, jak i gmina, uniknęliby sporo kłopotów. Starsi ludzie, przekazujący państwu gospodarstwa, sądzą, iż po ich śmierci domki i działki, które im pozostawiono, będę mogły odziedziczyć dzieci, które mieszkają w mieście. Otóż państwo przejmuje wszystką ziemię, również tę, na której stoją budynki, a urząd gminy pozostawia renciście działkę 0,30 ha na dożywotnie użytkowanie. Później ziemia ta przechodzi na własność państwa. A co z budynkami? Gmina musi je remontować, jeżeli one także zostały przekazane państwu. A jeśli nie? Wtedy po śmierci rodziców dzieci z miasta starają się je przejąć i gmina musi siłą rzeczy oddać je wraz z gruntem, na którym stoją. Jeśli natomiast budynki zostały przekazane państwu, a gospodarstwo jest duże, to

te budynki (obory, stodoły) stoją nie wykorzystane i ulegają dewastacji. A ileż młodych małżeństw przejęłoby gospodarstwa wraz z budynkami? Jak widać, sprawa mieszkań dla rolników-emerytów jest niezwykle ważna.

Mgr J. Ziółkowski ma inne uwagi:

— Rolnik praktycznie nie korzysta z zasiłków chorobowych. Otrzymuje jedynie zasiłek po wypadku przy pracy, jeśli jest niezdolny do pracy trzydzieści dni. W związku z rentami należałoby także udoskonalić w prosty sposób stronę formalną: rolnik powinien dostać dokument ubezpieczeniowy w postaci książeczki, w której mieściłaby się cała dokumentacja. Tymczasem ilekroć pragnie udać się do lekarza, musi brać z gminy odbite na powielaczach zaświadczenie, że może korzystać z pomocy lekarskiej, a lekarz za każdym razem zatrzymuje ten świstek w swoich aktach. Jest to poważna strata czasu i marnotrawstwo papieru...

Ostatnio spotkałem się w Sieradzkiem z taką historią: matka zdała ziemię państwu, została sama na wsi i zachorowała. Przyjechał syn z miasta, wezwał lekarza. Ten oświadczył: „Matkę należy otoczyć troskliwą opieką. Gdyby pan był tutaj zameldowany, wypisałbym panu zwolnienie na opiekę nad matką, a tak, niestety, nie mogę...".

Radca prawny, Ewa Janio:

— Niestety, matka musi pozostać bez opieki. Najwyżej zajrzy do niej życzliwa sąsiadka. Ale są także inne, równie skomplikowane sprawy. Mam na przykład rolnika, który w październiku złamał rękę i do dziś nie otrzymał odszkodowania, bo sprawa ugrzęzła w gąszczu papierków. Jeżeli rolnik złamie nogę, lekarz wypisuje mu zwolnienie na druku L-4 z datą wypadku, bo wstecznego zwolnienia nie może wystawić, chowa ten druk do swoich akt i prosi o zaświadczenie, że wypadek rzeczywiście nastąpił przy pracy. Rolnik ze złamaną nogą „idzie" do gminy, tutaj sporządza się komisyjnie protokół o wypadku, opatruje pieczęciami i podpisami, rolnik wraca do lekarza, oddaje protokół, lekarz daje mu zwolnienie, które wędruje do ZUS i dopiero wtedy następuje po jakimś tam czasie wypłacenie odszkodowania. Jeżeli dziecko zachoruje w czasie żniw, matka nie otrzyma zwolnienia. Pracy w polu nie można zostawić, dziecka również. Istnieje też wiele spraw natury prawniczej, które wymagają troskliwego rozpatrzenia. Na przykład wdowa pragnie przekazać gospodarstwo synowi, aby w ten sposób uzyskać rentę. Kobieta płacze. Ona ma na stare lata włóczyć się po sądach? Niestety, musi, bo jest właścicielką tylko połowy gospodarstwa i trzeba przeprowadzić postępowanie spadkowe. A znowu ogrodnik nie może się pogodzić z faktem, że przekazując gospodarstwo następcom, musi przekazać wszystko, łącznie z budynkami i szklarniami, wartości kilku milionów...

Ustawa o zabezpieczeniu emerytalnym wsi jest osiągnięciem niezwykłym, doniosłym i docenianym przez rolników. Ale jest również przedsięwzięciem pionierskim i dlatego w trakcie realizacji ujawniają się pewne niedociągnięcia. Potwierdził to na spotkaniu z rolnikami tow. Edward Gierek. I sekretarz KC PZPR zapewnił, że partia zna te drażliwe, kłopotliwe problemy i podejmuje działania, aby je rozwiązać i wyeliminować. Potwierdzeniem słów Edwarda Gierka są ostatnie wytyczne ministra finansów, w których m. in. łagodzi się w znacznym stopniu warunki do uzyskania renty dla właścicieli drobnych gospodarstw, którzy z różnych względów nie mogą sprzedać państwu produktów za 15 tys. zł oraz orzeka się, że rolnicy w wieku do 35 lat, którzy przed 1 stycznia 1978 r. przejęli gospodarstwa od rodziców, na okres pięciu lat zwolnieni są od opłat na fundusz emerytalny. Zanim jednak wszystkie sprawy zostaną uregulowane, byłoby dobrze, aby przędnicy niższych szczebli administracji państwowej dokładniej kierowali się zaleceniami partii i zamiast sztywno trzymać się przepisów, dostrzegli sprawy ludzi, którzy w okresie „pochylenia jesieni" potrzebują szczególnej troski, życzliwości i wyrozumienia.

RYSZARD BINKOWSKI

PIEŚNIĄ

W PAMIĘĆ

WPISANY

Dalszy ciąg ze str. 1

HOMO POLITICUS

Jeśli już znalazłeś drogę do tego dworku rozłożonego na niskiej skarpie schodzącej w stronę niewielkiego strumyka, pierwszą rzeczą, na którą pewnie trafi twoje oko, będzie deska z zaznaczonym drzewem genealogicznym rodu Wybickich herbu Rogala.

I dobrze, że tak właśnie się z reguły dzieje, bowiem jest jednym z paradoksów naszej historiografii, a nade wszystko publicystyki zajmującej się popularyzacją wybitnych Polaków, że postać tego syna ziemi pomorskiej — Józefa Wybickiego to przedmiot zainteresowania ledwie dwóch—trzech ludzi, jak choćby Henryka Mościckiego, Ludwika Finkla czy Adama Skałkowskiego — upartego w trudzie wydawcy „Archiwum Wybickiego". A przecież zasłużył się aż nadto, choćby i nie brać pod uwagę to właśnie jedno, ale za to w świadomości społecznej nieśmiertelne dzieło.

Cofnijmy się jednak w czasie: jest rok 1747. Pod dachem szlacheckiego dworku w Będominie na Pomorzu, należącym do starej polskiej rodziny osiadłej tam już w XVI wieku, z matki wywodzącej się z pradawnych Ostoja-Lnińskich, rodzi się chłopiec, którym jest Józef Rufin Wybicki. Dzieciństwo upływa mu szybko, a wcześnie osierocony przez ojca, swoje nauki rozpoczyna od szkoły gdańskich jezuitów. Później nigdy nie powie dobrego słowa o tych latach. Nie dano mu wiedzy, a — mawiał — „tylko wpajano korzącą się i drżącą podłość". Luki w wykształceniu będzie właściwie przez całe życie uzupełniał samouctwem i lekturami, trafi też do uniwersytetu w Lejdzie. Ale to kwestia czasu, natomiast szybko trzeba się usamodzielnić, choćby przez pracę w sądownictwie. W roku 1767, ledwie dwudziestoletni Józef Wybicki — nie bez poparcia, co trzeba też powiedzieć, wpływowych wujów Lnińskich — zostaje wybrany posłem na sejm z ówczesnego powiatu kościerzyńskiego.

I to był prawdziwy początek, niejako drugie narodziny. Józef Wybicki staje się homo politicus; tak — politykiem.

Jest w Warszawie. Zima lat 1767—1768 wypełniona była w brzemienne dla Polski wydarzenia. Tragiczne, ale jakże politycznie pouczające były to czasy — pisze Adam Skałkowski: „Repnin wymusza różnorodne ustępstwa, narzuca gwarancję rosyjską dla zasadniczych ustaw godzących w interes Polski". Wybicki zaczyna aktywnie uczestniczyć w tym wszystkim, ze szczególną uwagą przysłuchując się płomiennym wystąpieniom przedstawicieli opozycji kierowanej przez Sołtyka. Głęboko przeżywa noc lęku i hańby, podczas której obcy żołnierze uprowadzają ze stolicy posłów i senatorów, kiedy Andrzej Zamoyski składa kanclerstwo. Podchwytuje podsuniętą mu myśl złożenia osobistej ofiary patriotycznej — w ten sposób dochodzi do przedłożenia przez Józefa Wybickiego na sesji sejmowej protestu „przeciwko wszystkiemu ustanowieniu komisji", która proponowała układ godzący w interes Polski.

Później wydarzenia następują jedno za drugim. Przypominając kolejne etapy życia twórcy polskiego hymnu narodowego wyliczymy je tylko: przed represjami Repnina poseł z powiatu kościerzyńskiego ucieka najpierw na Spisz, skąd udaje się do Baru. Jest tzw. konsyliarzem generalnym Konfederacji Barskiej, a następnie generałem Naczelnika — Tadeusza Kościuszki, szambelanem ostatniego króla Polski — Stanisława Augusta Poniatowskiego, a także publicystą — autorem m. in. „Listów patriotycznych do J. W. ekskanclerza Zamoyskiego, prawa układającego" oraz broszury pt. „Do autora listów patriotycznych", dramatu „Zygmunt August" i wielu innych. Zajmował się też problemami gospodarczymi kraju, podejmując je przede wszystkim w „Projekcie do puszczania ludzi na czynsz i uwolnienia ich od poddaństwa", którego tezą może być takie oto zdanie: „Trzeba, aby chłop miał sprawiedliwość, aby miał pewność swego życia i rąk swoich dorobku. Nie ta przecie dla niego dotąd w Polsce korzyść... sto praw rolnik liczy przeciwko sobie, ani jednego za sobą. Dajcie rolnikom ich własność, upewnijcie, iż im jej żadna nie wydrze niesprawiedliwość, a dopiero wtedy rolnictwo zakwitnie i zamiast buntów, spokojność się ugruntuje, a prawdziwa na ochronę kraju zacznie się krzewić siła".

Jest też jednym, na których zaborcy po stłumieniu insurekcji wydają zaocznie wyrok śmierci.

Zaczynają się lata tułacze, najpierw bezpłodne pośród sporów skłóconego polskiego wychodźstwa. Był to też czas chyba najtrudniejszy z jeszcze innego powodu: obaw o los żony i dzieci pozostawionych w kraju właściwie bez środków do życia. Całą nadzieją były wytrwałe zabiegi u rządu francuskiego, by zainteresować go sprawą polską, a w pierwszej kolejności utworzeniem Legionu. A kiedy to się już staje, u boku Dąbrowskiego ten, który wyszedł z będomińskiego dworku, zyskuje sobie chlubne miano wychowawcy żołnierza-tułacza, Legionów Polskich we Włoszech.

PEWNEGO DNIA W REGGIO...

Polak, który choćby dziś trafi do włoskiego miasta Reggio Emilia, bez większego trudu znajdzie tę ulicę, życzliwie wskażą przybyszowi tabliczkę z napisem Via Józef Wybicki, patriota polacco, 1747—1822. Łatwo też odnaleźć klasztor pod wezwaniem św. Dominika, w którym w roku 1797 rozłożyli swoje kwatery polscy legioniści.

Wybicki przyjechał tutaj wprost z Paryża, w Reggio di Emilia znalazł się w drugiej połowie lipca 1797 r., niezmiernie serdecznie witany przez Dąbrowskiego. Już w trzecim dniu pobytu, zgotował Dąbrowski swojemu przyjacielowi prawdziwie ogromną niespodziankę: zarządził uroczysty przegląd wszystkich oddziałów Legionów Polskich stacjonujących w samym Reggio oraz jego okolicy. Kronikarz odnotował, że na miejskim placu broni zgromadziła się cała ludność, a wojskową paradę otwierała dęta orkiestra pułkowa grając „Marsza Legionów Polskich" skomponowanego przed kilkoma miesiącami przez Michała Kleofasa Ogińskiego. Cywil Wybicki stał u boku generała Dąbrowskiego, a przed nimi defilowały kompanie grenadierów, woltyżerów i fizylierów. Podobno ci właśnie ostatni — najmniej okazale prezentujący się żołnierze — śpiewali w marszu jakąś ludową, rytmiczną i dziwnie pokrzepiającą piosenkę, która szczególnie wpadła w ucho Wybickiemu. Później, już wieczorem, krążąc między żołnierskimi kwaterami, przysłuchiwał się nie tylko legionowym pogwarkom, ale i piosenkom snutym nad kociołkiem strawy. Jeszcze raz poprosił fizylierów, by zaśpiewali mu swoją piosenkę, której melodia wydawała mu się od dawna znana, wielokrotnie gdzieś słyszana i to dawno — w latach dzieciństwa. „Była to — twierdzi Roman Kaleta — melodia popularnego na Pomorzu mazurka, a którą zegarmistrz gdański Franciszek Bellair utrwalił na mechanizmie kurantowym". Nie jest to wszystko takie pewne, bo i na Podlasiu melodia ta była znana i śpiewana. Trudno też ustalić precyzyjną datę powstania strof „Mazurka Dąbrowskiego". Stało się to — podobno w jeden wieczór — między 16 a 19 lipca 1797 roku.

W takich to okolicznościach, pisząc w gorączkowym pośpiechu, Józef Rufin Wybicki herbu Rogala stał się twórcą hymnu wszystkich Polaków.

LOSY

Pachnie tu jeszcze farbą, nie ma oczekiwanej podświadomie patyny, historycznej szacowności, którą zwykliśmy wiązać z narodowymi pamiątkami, choć wszystko jest tutaj niczym innym jak historią.

Znaczne fragmenty będomińskiego dworku specjaliści datują na wiek XVIII, resztę dobudowano w XIX wieku, zaraz po niszczącym pożarze, który dotknął rodową siedzibę Wybickich herbu Rogala. I kiedy się patrzy na owe najstarsze, ocalałe z niszczącej pożogi obelkowania, a wreszcie ogarnia się całość, po raz któryś odrodzoną w swym dawnym kształcie, bezwiednie zaczyna się myśleć o częstej zbieżności losów ludzi i dzieł przez nich stworzonych.

Bo tak było i w tym przypadku.

Trudno wprawdzie dziś ustalić, w jaki sposób będomińska posiadłość Wybickich przeszła w ręce jednego z zaborców — Prusaków, czy przez konfiskatę czy też inną drogą, faktem jest, że splata się to jakoś z kolejami życia tego, który się pod tym dachem urodził. Przebywał Wybicki tutaj niespełna osiem swoich dziecięcych lat i przez krótki okres po klęsce pierwszego rozbioru Polski. Później, po śmierci swej pierwszej żony — Kunegundy z Drwęskich, przeniósł się do bliskich Hanieczek należących do Estery z Wieruszów-Kowalskich, którą poślubił. Dalej — no cóż, od Warszawy przez Paryż wiódł ów tułaczy szlak polityka emigranta, którego przystankiem w drodze była też mała salka Caffe dei Luterani przy Piazza Piccola w Reggio, gdzie po zasadzeniu „drzewka wolności" sam zaśpiewał swoim przyjaciołom i zebranej starszyźnie legionowej owego mazurka pomorsko-podlaskiego, tak silnie przemawiającego do wyobraźni i gdzie też zaczęła się przedziwna jego przemiana, chciałoby się powiedzieć — niezwykła kariera żołnierskiej piosenki...

* * *

Będomiński dworek — dziś Muzeum Hymnu Narodowego. Trudno jest oprzeć się urokowi tych barokowych izb przesyconych polskością, pamiątkami przecież nie tylko po człowieku, który się tutaj urodził.

Wiele wydarzeń widziały wiekowe lipy do dziś otaczające rodowe gniazdo Wybickich, sporo mogłyby powiedzieć ściany samego dworku. Po roku 1945 ulokował się tutaj najpierw uniwersytet ludowy, później szkoła podstawowa. I byłoby to nie wnoszące nic wydarzenie, gdyby nie fakt, iż kierownictwo owej szkoły objął Tadeusz Zieliński. Nie tylko doskonale zdawał sobie sprawę, w jakim to miejscu wypadło mu „wyprowadzić" na światłych ludzi gromadkę okolicznych dzieciaków, ale ponadto od dawna nosił się z myślą podjęcia jakichś praktycznych kroków dla stworzenia, no może nie od razu muzeum, ale przynajmniej izby upamiętniającej tak postać Józefa Wybickiego, jak i najważniejsze dzieło jego życia: wszystko co ma jakiś związek z powstaniem i trwaniem w świadomości narodu Mazurka Dąbrowskiego.

Nie był w tym przekonaniu sam, wspierała go znakomicie „druga linia" w postaci grupy społecznych działaczy — prof. Andrzej Bukowski, Henryk Kwieciński, Stanisław Pestka, Jan Pietrasik, Elżbieta Sobolewska, że wymienię dla przykładu, a ponadto zabrano się do dzieła z przysłowiową głową i do tego chytrze. Jeszcze w połowie lat 50 Tadeusz Zieliński zaczyna gromadzić wszystko, co w jakiś sposób wiąże się z Wybickim, a pośrednio również jego „Mazurkiem". Niewiele tego było, trochę portretów, fotokopii, czy też reprodukcji rękopisów, ale dało się to złożyć w jakąś całość, na izbę pamięci, którą otwarto w 1962 roku. Jeśli tę część działania grupy zapaleńców starających się na razie nie widzieć, że będomiński dworek po doświadczeniach z rolniczym ośrodkiem maszynowym tylko ledwie trzyma się w szwach, nazwiemy mrówszą krzątaniną, to zorganizowanie przez Zrzeszenie Kaszubskie ogólnokrajowej sesji naukowej poświęconej Wybickiemu, a i zrealizowanie pierwszego na polskiej ziemi pomnika twórcy Hymnu, można zaliczyć do przedsięwzięć wytwarzających szczególnie dobrą atmosferę wokół innych projektów trzymanych na razie w zanadrzu. Coś z public relations w rodzimym wydaniu. Pomnik — popiersie Wybickiego dłuta Wawrzyńca Sompa — stoi przy szosie wiodącej z Kościerzyny do Gdańska i jakby wskazuje drogę do Będomina.

Bowiem i tam się wszystko odmieniło. Za duży był kontrast między bohatersko ujętą postacią z piaskowca i będomińską rzeczywistością, bliską prawie zupełnej ruinie. I choć niezmiernie lubimy coś przykroić, na powiedzmy zastępczo, z marmuru lub piaskowca, w najgorszym razie, to jednak od czasu do czasu, szczególnie gdy znajdzie się na podorędziu kilku choćby przytomnych ludzi, potrafimy też pamiętać o często jeszcze istotniejszej reszcie. Jak było — tak było, nie wdawajmy się w szczegóły...

W lipcu 1978 roku przewodniczący Rady Państwa — prof. Henryk Jabłoński wziął udział w uroczystym otwarciu Muzeum Hymnu Narodowego mieszczącym się w będomińskim dworku Wybickich.

* * *

Chodzę po muzealnych izbach, zaczynając jak każdy od owego genealogicznego drzewa rodu Wybickich herbu Rogala. Później przesuwa się w zwolnionym tempie jakby film o życiu odważnego posła powiatu kościerzyńskiego: ryciny kolegium jezuickiego, gdzie pobierał nauki, wielkie wydarzenia — elekcja Stanisława Augusta, wreszcie matejkowska wizja „Konstytucji 3 Maja". Są i drobniejsze rzeczy: jakiś list z roku 1797 napisany do generała Henryka Dąbrowskiego, orzełek pamiętający bitwę maciejowicką, dedykowany synom zbiór myśli zatytułowanych „Moje godziny szczęśliwe", czy wykaz darów na armię z roku 1788. Jest też niezmiernie ciekawy dokument przygotowany przez Wybickiego, a mianowicie mowa do samego Napoleona — „Program względem przyjęcia w Warszawie najjaśniejszego cesarza Francuzów, Napoleona Wielkiego". Są i narodowe sztandary — te z powstań i Legionów Polskich we Włoszech, jakieś żołnierskie drobiazgi, trochę dawnej biżuterii ściśle związanej z kręgiem osób, bądź też wydarzeń łączących się z epoką i samym Wybickim.

No i wreszcie, to co najważniejsze, co każdego letniego dnia sprowadza do tego dworku, pod jego spadzisty dach 1000 i więcej zwiedzających: część ekspozycji poświęcona „Mazurkowi Dąbrowskiego".

Na ścianie tyka cicho stary zegar, wzrok pada na inne przedmioty rozstawione po pokojach — inkrustowaną bogato konsolkę, klawesyn, jakby przygotowany do gry, tu i ówdzie jakiś drobiazg ze szlachetnej porcelany...

Jesteśmy w jednym z dawnych polskich domów.

Jakby w gościnie. U Józefa Wybickiego. Ojca Hymnu Polaków.

KRZYSZTOF POGORZELEC

Foto: W. PARYS

Znany nam wszystkim „Mazurek Dąbrowskiego" lub — jak też go wcześniej nazywano — „Pieśń Legionów", w pierwotnej wersji był nieco inny i zaczynał się od słów: „Jeszcze Polska nie umarła". Mazurek składał się z sześciu zwrotek.

Z przekazów ustnych, z tradycji oraz dokumentów wynika, że na ziemiach polskich „Pieśń Legionów" lub „Mazurek Dąbrowskiego" był najwcześniej śpiewany pod zaborem austriackim. Zapewne przenieśli go tam w ustnym przekazie chłopi — najpierw żołnierze armii austriackiej, a później jeńcy francuscy i legioniści.

Już na przełomie wieku XVIII i XIX istniało wiele odmian tekstu „Mazurka Dąbrowskiego". Pojawiły się też opinie podważające nie tylko czas powstania „Pieśni Legionów", lecz również autorstwo Wybickiego. Szczególnie uporczywie lansowany był pogląd, iż jest to dzieło zbiorowe.

Autograf tekstu „Mazurka" pisany ręką samego Wybickiego odnalazł w roku 1885 Bohdan Kraszewski — brat pisarza Józefa Ignacego Kraszewskiego. Spoczywał on wśród papierów domowych dr Edwarda Rożnowskiego — wnuka twórcy Hymnu Narodowego. Ten bezcenny dla Polaków, wiedziony dziwnymi drogami do Charlottenburga splonął w roku 1944.

Jednym z tych Polaków, którzy upominali się o wystawienie Józefowi Wybickiemu pomnika, był Stanisław Witkiewicz. Jeszcze na długo przed powstaniem II Rzeczypospolitej pisał, że „Byłby to pomnik wznoszący się nad wszystkimi polami bitew...".

„Mazurek Dąbrowskiego" towarzyszący pokoleniom Polaków w ich walce o wolność i niepodległość został oficjalnie podniesiony do godności Hymnu Narodowego w roku 1926.

ŚLADAMI DZIEJÓW ZIEMI

Rozmowa z prof. dr habil. ANNĄ DYLIKOWĄ – dyrektorem Instytutu Geografii i kierownikiem Zakładu Geomorfologii i Paleogeografii Czwartorzędu Uniwersytetu Łódzkiego, laureatką Nagrody Miasta Łodzi.

— Specjalnością naukową pani profesor jest geografia fizyczna, a przede wszystkim geomorfologia, czyli nauka o formach i kształtowaniu się powierzchni Ziemi. Kiedy narodziła się myśl o takiej właśnie specjalizacji?

— Podczas studiów w Poznaniu, chociaż geografią interesowałam się już w szkole średniej, na co miały wpływ zarówno moje wspaniałe nauczycielki, jak i praca w harcerstwie. Co prawda przez dłuższy czas wahałam się między geografią a medycyną; w końcu jednak zwyciężyła ta pierwsza. I nie żałuję. Geografia jest dziedziną, która skłania do wszechstronności, jej urok tkwi w kombinacji elementów wiedzy humanistycznej i ścisłej.

— W dziedzinie, którą pani reprezentuje kontakt z innymi gałęziami wiedzy jest chyba czymś naturalnym. Geomorfologia nie jest przecież nauką samodzielną...

— W Polsce przyjęło się wiązać ją z geografią fizyczną, ale na przykład w krajach anglosaskich czy we Francji, geomorfologia istnieje na wydziałach nauk ścisłych, razem z geologią. Tak czy inaczej, geomorfologia jest nauką pograniczną, a jej miejsce na uczelni jest raczej kwestią umowy.

Po II wojnie światowej wielu uczonych zwróciło większą uwagę na rolę warunków klimatycznych w kształtowaniu rzeźby. Wydaje mi się jednak, że prawda leży pośrodku: nie można pomijać ani cech budowy geologicznej, ani warunków klimatycznych, które jako zmienne w czasie, w różnym stopniu wpływały na ten sam materiał geologiczny. Stąd już zresztą blisko do tej dziedziny badań, którą reprezentuje obecnie ośrodek łódzki, tj. do **paleogeografii czwartorzędu.** Rekonstruuje ona krok po kroku wszystkie przemiany i wpływy, jakim ulegała rzeźba środkowej Polski.

— Badaniom tym dało początek utworzenie w 1945 roku Zakładu Geografii na Uniwersytecie Łódzkim oraz powstanie — z inicjatywy prof. Jan Dylika — ośrodka badań peryglacjalnych, określanego często mianem „łódzkiej szkoły geograficznej". Jak doszło do powstania tego ośrodka?

— Kiedy jeszcze przed wojną mój mąż zaczynał prace badawcze w okolicach Łodzi, były one — pod względem geomorfologicznym — „białą plamą". Region ten badano w sposób dorywczy, leżał on bowiem do tamtego czasu poza zainteresowaniem ośrodków, w których istniały — w przeciwieństwie do Łodzi — wyższe uczelnie.

Po zorganizowaniu **Zakładu Geografii na UŁ**, zaczęliśmy nasze prace od wykonania przeglądowej mapy geologicznej. Przy okazji tej pracy ujawniły się zagadnienia wówczas dla nas niezrozumiałe. Okazało się, że to co tu znaleźliśmy, nie pasowało do schematów, które były już gotowe i przyjęte dla obszarów sąsiednich. Naszym zadaniem stało się wyjaśnienie tej zagadki: na plejstoceńskich osadach lodowcowych leżały osady tzw. pokrywowe, noszące ślady innego, niż glacjalny, środowiska.

— Stwierdziliśmy występowanie struktur i zaburzeń, które nie mieściły się w kategoriach glacjalnych, nie należały do typowych, znanych wcześniej efektów wielkich zlodowaceń. Przystąpiliśmy więc do rekonstrukcji warunków, w jakich pojawiły się owe niezrozumiałe osady i do ustalenia przyczyny obserwowanych deformacji. I to jest właśnie początek geomorfologii peryglacjalnej.

Badania pochłonęły wiele lat... W pracach uczestniczył cały zespół, ale główną rolę odegrały badania mojego męża, który jako pierwszy opublikował wiadomości o formach peryglacjalnych w środkowej Polsce, a także nadał właściwą rangę tej problematyce. W 1956 roku mąż wziął udział w kongresie w **Rio de Janeiro**, gdzie został wybrany **przewodniczącym Komisji Geomorfologii Peryglacjalnej Międzynarodowej Unii Geograficznej**; funkcję tę pełnił przez następne 16 lat... Na tym samym kongresie ukazujący się od dwóch lat w Łodzi w języku polskim **„Biuletyn Peryglacjalny"** uznany został za organ międzynarodowy. Łódź stała się na wiele lat „stolicą peryglacjalną". Na czym polega specyfika naszego ośrodka? Sądzę, że w znacznej mierze na zespole stosowanych metod badawczych, na ich precyzji i szczegółowości.

— Jedną z pierwszych chronologicznie pani prac, jest zaproponowana w początkach lat 50-tych nowa w morfologii glacjalnej metoda badań strukturalnych. Czy miała ona również zastosowanie w badaniach peryglacjalnych?

— Kiedy bowiem stwierdziliśmy, że odkrywana przez nas rzeźba nie jest właściwie czysto lodowcowa, że ulegała ona później przekształceniom w warunkach peryglacjalnych, to pojawił się problem rekonstrukcji rzeźby pierwotnej i odczytania wcześniejszych form lodowcowych. Ponieważ były one zniszczone i mało czytelne, musieliśmy sięgnąć do cech budowy geologicznej, czyli cech ich struktury i znaleźć klucz, który pozwoliłby rozszyfrować genezę tej rzeźby oraz wyjaśnić i zaklasyfikować formy akumulacji lodowcowej, zwłaszcza na obszarach starszych zlodowaceń. Zaproponowana przeze mnie w pracy doktorskiej metoda przyjęła się w Polsce i jest dzisiaj stosowana nie tylko w odniesieniu do form i osadów lodowcowych, ale także np. w analizie rzeźby wydmowej. Wcześniej jednak metoda ta pomogła w naszych badaniach.

— ...które uwydatniły znaczenie regionu łódzkiego w historii zdarzeń plejstoceńskich?

— Powiedziałabym może raczej: środkowej Polski. Region Łodzi jest bowiem tylko jednym z elementów rzeźby centralnej Polski, podobne zagadnienia występują więc w całej tej strefie.

Konieczne okazały się też prace porównawcze na współczesnych obszarach polarnych, w Laponii, Kanadzie Północnej, na Spitsbergenie, Syberii i Alasce.

— Z pobieżnej obserwacji nie wynika raczej, by region łódzki obfitował w jakieś niezwykłe formy geomorfologiczne. A, jak wygląda on z perspektywy naukowej?

— Obszar podłódzki jest szczególnie interesujący, ponieważ podczas stadiału Warty znalazł się między dwoma jęzorami lodowca, a w czasie ostatniego zlodowacenia w odległości około stu kilometrów od czoła lodowca. Występują tu więc m. in. zarówno ślady glacitektoniki, a więc zaburzeń czy spiętrzeń, jak i struktury świadczące o spokojnym, niczym niezakłócanym przebiegu procesów akumulacyjnych, a także cały zespół form związanych swym pochodzeniem ze strefami brzeżnymi obu jezior lodowcowych. I na to wszystko nałożyły się jeszcze elementy rzeźby późniejszej — peryglacjalnej...

— Stały się one tematem szeregu pani prac naukowych?

— Przedstawiłam na przykład w układzie przestrzennym występowanie kopalnych wieloboków. Struktury te świadczą o tym, że na terenie środkowej Polski działał — tak bardzo powszechny dziś w Kanadzie Północnej, czy na Syberii — proces kontrakcji termicznej, tj. pękania gruntu przy gwałtownych spadkach temperatury. Wieloboki są w badaniach peryglacyjnych strukturą wiodącą, ponieważ stanowią koronny dowód na istnienie zmarzliny, typowej właśnie dla strefy peryglacjalnej.

— Drugim rodzajem form rzeźby, któremu poświęciła pani szereg pionierskich prac, są formy eoliczne...

— W obrębie zagadnień rzeźby peryglacjalnej mieszczą się również na przykład wydmy środkowej Polski, wydmy śródlądowe, którymi się szczególnie interesowałam. Powstawały one w warunkach tundrowych, w okresie, gdy panowały chłody, a roślinność była jeszcze bardzo uboga; proces osadzania piasku przez wiatry odbywał się więc bez przeszkód. W czasie moich studiów między innymi współpracowałam z archeologami, którzy pod kierunkiem **prof. Waldemara Chmielewskiego** prowadzili na początku lat 60-tych badania w **Witowie k. Piątku.** Konfrontacja opinii i datowań archeologów z wykrytymi przez nas cechami struktury, umożliwiła rekonstrukcję wydarzeń natury geologicznej, wskazała na istnienie określonego porządku. W wyniku późniejszych badań okazało się, że na terenie całej Polski środkowej, a nawet południowej, formy eoliczne pojawiały się w tym samym czasie, a kolejne fazy ich rozwoju były podobne. Mój schemat dynamiki rozwoju wydm okazał się więc przydatny.

— W tym miejscu nasuwa się pytanie o przykłady praktycznego wykorzystania doświadczeń geomorfologii...

— Weźmy chociażby przykład erozji gleb, która panoszy się na Wyżynie Lubelskiej i w Górach Świętokrzyskich w wyniku nazbyt intensywnego rozwoju gospodarki rolnej. Do geomorfologów należy wskazywanie form gospodarki rolnej, które pozwolą uniknąć zniszczenia gleb. Częstym zjawiskiem jest również niewiedza budowniczych i organizatorów turystyki, którzy wkraczają do środowiska naturalnego, nie znając jego praw. Niezależnie od inżynierów, także geomorfolodzy dają wstępne ekspertyzy określające przydatność terenu do różnych form zagospodarowania.

— Różnego rodzaju procesy powoli, acz konsekwentnie, przyczyniają się do stopniowego niwelowania rzeźby kuli ziemskiej. Czy za jakiś czas ludzkość będzie żyła w terenie zupełnie równinnym?

— Generalną tendencją wszystkich procesów rzeźbotwórczych na Ziemi jest zrównywanie: z jednej strony zapełnianie wszystkich zaklęsłości, a z drugiej ścinanie wyniosłości. Oczywiście procesy te odbywają się w różnym tempie, zależnie od warunków geologicznych, typu klimatu itd., a także od czynnych współcześnie procesów tektonicznych. Gdyby jednak miała nam zagrozić całkowita niwelacja środowiska, w którym żyjemy, nie nastąpiłoby, to ani za sto, ani za tysiąc lat. Procesy akumulacji i denudacji są bowiem niesłychanie powolne, a zmiany roczne dotyczą średnio paru milimetrów lub centymetrów, zależnie od okoliczności. Wystarczy powiedzieć, że zniszczenie jednego centymetra pokrywy glebowej wymaga około dwustu lat regeneracji. Ale choć są to procesy bardzo powolne, człowiek może je opóźnić, albo przyśpieszyć. Na przykład wycięcie lasu — szczególnie na stokach — wyzwala erozję gleby. Zadaniem geomorfologów jest uświadamianie ludziom skutków tych procesów i uczestniczenie w pracach na rzecz racjonalnego gospodarowania środowiskiem przyrodniczym.

— I to byłaby chyba przyszłość dla zastosowania geomorfologii?

— Tak, ale to samo można powiedzieć i o innych dziedzinach geografii fizycznej. Aspekt stosowany mają na przykład również prace naszego **Zakładu Metereologii, Klimatologii i Hydrologii**, który zajmuje się zagadnieniami bioklimatycznymi, a więc np. oceną klimatu nowo powstających lub rozbudowujących się uzdrowisk, prowadzi — w ramach problemu rządowego — badania wpływu rzeźby i typu zabudowy na klimat miast, interesuje się zagadnieniami agroklimatycznymi. Zakładowi temu przypadają także pewne zadania związane z gospodarką wodną i ochroną wód, częściowo mieszczące się w planie zagospodarowywania Wisły. Czynimy starania zmierzające do utworzenia osobnej jednostki naukowej zajmującej się kształtowaniem i ochroną środowiska. Chcielibyśmy, aby w przyszłości nasi studenci mogli uzyskiwać w ramach

Foto: A. Wach

geografii specjalizację z tej dziedziny. Jak pan widzi, w miarę naszych sił i możliwości, staramy się być przydatni. Choć — jak to w życiu bywa — nasze głosy nie zawsze są brane pod uwagę...

— Istnieje jeszcze „coś", co się nazywa „rachunkiem ekonomicznym...".

— Odnoszę wrażenie, że przeciętna społeczna świadomość tego, co może dać geografia, jest jeszcze za mała. Wielu ludzi nie orientuje się czym się geografowie zajmują, na jakie pytania mogą odpowiedzieć. Tymczasem dochodzą mnie nie raz bardzo pozytywne opinie z instytucji zatrudniających naszych absolwentów. Geografowie mają z natury rzeczy dużą łatwość obejmowania całości zagadnień związanych ze środowiskiem, w każdym jego miejscu widzą zawsze łańcuch powiązań. Wydaje mi się, że wielu błędów gospodarki tym środowiskiem, zwłaszcza zaś gospodarki wodnej, można by uniknąć, gdyby przy podejmowaniu decyzji brano pod uwagę rady geografów...

— Pochlebne opinie o absolwentach geografii, a także wizyty zagranicznych uczonych, świadczą o wysokim poziomie pracy badawczej i dydaktycznej Instytutu Geografii, którym pani kieruje. W uzasadnieniu przyznanej pani na początku 1979 r. Nagrody Miasta Łodzi obok pracy naukowej, podkreśla się wkład w dziedzinę wychowania i dydaktyki. Jest pani profesor, jak mi wiadomo, wychowawcą kilku pokoleń geografów...

— Nie wyobrażam sobie uczonego, który by nie zajmował się również dydaktyką. Sama zawsze podkreślam, że nie jestem wyłącznie pracownikiem nauki. Przez szereg lat, jeszcze przed wojną w Łodzi, potem na tajnych kompletach w Warszawie, i po wyzwoleniu znowu w Łodzi, uczyłam w szkołach średnich. Dzisiaj z ramienia **Polskiego Towarzystwa Geograficznego** przewodniczę **Głównemu Komitetowi Olimpiady Geograficznej.** Praca z nauczycielami i uczniami i dzisiaj daje mi wiele satysfakcji, a olimpiada przyczynia się do podnoszenia poziomu wiedzy kandydatów na studia geograficzne. W pracy uniwersyteckiej również poświęcam dydaktyce i wychowaniu wiele miejsca: byłam przez siedem lat prodziekanem do spraw studenckich, przez wiele lat prowadziłam sprawy dydaktyczne i wychowawcze w instytucie. Cenię sobie bardzo tytuł Zasłużonego Nauczyciela PRL...

— Swoje doświadczenia naukowe i dydaktyczno-wychowawcze zawarła pani w ponad 60 opublikowanych pracach. Są wśród nich również podręczniki...

— Za jedną z ważniejszych pozycji uznaję **„Geografię Polski"**, napisaną wspólnie z **prof. Barbagiem**, który jest autorem części gospodarczej i ludnościowej, natomiast ja — fizycznogeograficznej. Najważniejszą moją pracą o charakterze podręcznikowym jest jednak **„Geografia Polski. Krainy Geograficzne"**, tom w którym starałam się po raz pierwszy na naszym gruncie zintegrować zjawiska przyrodnicze i społeczno-gospodarcze. Praca ta — będąca próbą przedstawienia geografii Polski w ujęciu regionalnym — przydała się nie tylko nauczycielom i studentom, ale także biurom planowania, jednostkom gospodarczym itp. Utrwaliła wiele zjawisk geograficznych w ramach dawnego podziału administracyjnego kraju. Ma więc charakter dokumentu, ale... trudno ją też dzisiaj wznowić. Z innych książek, w pisaniu których brałam udział, najbliższe mi są dwie: monografia **„Czwartorzędu Polski"**, w której znalazła się moja praca o wydmach i książka popularnonaukowa pt. **„Polska, przyroda, człowiek, gospodarka"**, której drugie wydanie ukaże się niedługo w wersji bułgarskiej.

— Dziękując pani za tę rozmowę, proszę jednocześnie o przyjęcie serdecznych gratulacji z okazji przyznanej pani nagrody oraz życzeń wielu następnych sukcesów naukowych i dydaktycznych...

— Ja zaś chciałabym jeszcze podkreślić fakt, iż chociaż nie jestem łodzianką z urodzenia, czuję się patriotką tego miasta i tego regionu. Zawsze mówię, że Łódź jest moim miastem z wyboru, i że to jest znacznie ważniejsze, niż związek poprzez miejsce urodzenia... W Łodzi znalazłam atmosferę sprzyjającą rozwojowi moich zainteresowań. Muszę przyznać, że nie widziałabym siebie w innym otoczeniu, w innym mieście. Dlatego też otrzymanie tej właśnie nagrody — Nagrody Miasta Łodzi — jest dla mnie szczególnie ważne i cenne.

Rozmawiał:
TOMASZ SOLDENHOFF

Dalszy ciąg ze str. 2

ZBUDUJEMY TEN OBIEKT...

tego zamierzenia, musieliśmy wprowadzić pewne nowe metody projektowania, inaczej podejść do struktury tego obiektu od strony organizacyjnej technologicznej i merytorycznej. Projekt tego obiektu rozpoczęliśmy w 1971 roku, a skończymy go prawdopodobnie w 1980. W sumie 10 lat, bez przerwy. Ogromnie dużo pracy kosztuje mnie ten szpital kliniczny AM.

— Czy zechciałby pan podać nieco więcej szczegółów o tej wielkiej i potrzebnej inwestycji służby zdrowia?

— Jest to doprawdy obiekt, o którym można mówić godzinami. Więc powierzchnia zabudowy — około 5 ha. I to niewiele mówi ale jego kubatura jest rzędu 900 tys. m sześc. i to już coś mówi, jest bowiem większa od kubatury Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Dla porównania podam iż kubatura szpitala im. Kopernika, bez onkologii, wynosi około 85 tys. m sześc.

Projekty poszczególnych elementów Centrum oddajemy sukcesywnie na budowę. Teraz skończyliśmy projektowanie głównego bloku łóżkowego. Sądzę, iż pierwszy i ostatni raz projektowałem tak wysoki szpital, bowiem doświadczenia wskazują, że przy takiej wysokości wyłania się moc problemów nie tylko technicznych lecz także psychicznych, jeśli chodzi o chorych. W części wysokiej będzie miał 18 kondygnacji.

— Jak w naszym ŚDM?

— Będzie wyższy, ponieważ kondygnacje szpitalne są wyższe. Znajdzie się w nim cały poziom usługowo-handlowy na skalę małego miasteczka. W Centrum będzie przebywać prawie osiem tysięcy osób. Budynek łóżkowy jest teraz w budowie i wychodzi już z ziemi. Ten kliniczno-dydaktyczny gigant ma dwie podziemne kondygnacje, w których zrobiono już bardzo dużo ale czego jeszcze nie widać. Będzie to ogromna bryła, zamykająca od północy ul. Narutowicza i dominująca nad okolicą. Ulicę Nowotki przewiduje się jako dwujezdniowy ciąg komunikacyjny, a trzecią jezdnię przeznacza się wyłącznie dla potrzeb szpitala. Główne wejście do szpitala będzie od ul. Nowotki, mniej więcej na wysokości dzisiejszej pętli tramwajowej.

W tej chwili jest to największa, a w każdym razie jedna z największych inwestycji służby zdrowia w Polsce. Przewiduje się w niej pełny program dydaktyczny, z wyjątkiem pediatrii, która ma swoją klinikę przy ul. Spornej. Centrum Kliniczno-Dydaktyczne tak zostało zaprojektowane — w układzie blokowym — żeby cała instytucja AM mieściła się pod jednym dachem. Praktycznie rzecz biorąc, cały tok nauk medycznych studenta będzie się odbywał w tym jednym obiekcie. Tam też jest przewidziany rektorat z audytorium maximum. Najpierw zostanie uruchomiona część kliniczna Centrum, później — dydaktyczna.

— To już są wszystkie obiekty służby zdrowia, które pan projektował?

— Jest ich znacznie więcej. Specjalizowaliśmy się na przykład w projektowaniu pawilonów dla radioterapii izotopowej oraz szybkimi elektronami. Już w kilku miastach Polski stoją takie pawilony zaprojektowane w naszym biurze. Ostatnio, współpracując z Francją, wprowadza się do tego rodzaju lecznictwa akceleratory liniowe, tzw. przyśpieszacze. Jest to aparatura o najwyższych standardach światowych. Otrzymała ją już Łódź, drugą otrzymało Opole. Obecnie projektujemy dla ośrodka onkologicznego AM w Lublinie niewielkie pawilony tego typu.

Równolegle z projektowaniem Centrum AM w Łodzi robimy kilka innych dużych tematów z tej dziedziny, jak np. projekty szpitala pediatrycznego, o którym już wspomniałem wcześniej, projekty modernizacji szpitala im. Heleny Wolff na Łagiewnickiej i inne.

— Widziałem na pańskim stole duży rysunek jakiegoś elementu szpitala. Co to był za fragment?

— Zaledwie mały fragment fragmentu, że użyję takiego określenia, głównego wejścia do łódzkiego Centrum AM. Nie sposób opracować dużych i skomplikowanych tematów jednoosobowo. Musi być do tego włączony wystarczająco duży, wyspecjalizowany zespół. Taki właśnie zespół prowadzę w Miejskim Biurze Projektów jako główny projektant. Podstawowe decyzje projektowe należą do mnie, ja ponoszę odpowiedzialność za temat.

— Czy specjalizacja w dziedzinie szpitalnictwa nie eliminuje zespołu z podejmowania tematów o innym profilu?

— Tak, ale nie całkowicie i tylko z braku czasu. Same studia nad projektowaniem tematów szpitalnictwa są niezwykle absorbujące. Musimy studiować zagadnienia technologii, organizacji, łączności, dydaktyki i inne. Na świecie prowadzi się w tej dziedzinie nieustanne badania, nie możemy pozostawać w tyle. Niemniej, praktycznie rzecz biorąc możemy się podjąć każdego zadania projektowego, uważam bowiem, iż dobry architekt potrafi w odpowiedni sposób zorganizować każde zdarzenie przestrzenne mając do tego odpowiednie dane.

— Brał pan udział w konkursach architektonicznych w kraju lub za granicą?

— W kilkudziesięciu, krajowych i zagranicznych. Otrzymałem też kilka nagród i wyróżnień, aczkolwiek najwięcej satysfakcji sprawia mi sam fakt uczestnictwa w konkursie.

— Jak pan wypoczywa?

— Przy muzyce, fotografii i uprawianiu sportów. Oczywiście, jeśli mam na to czas, ale teraz właśnie czasu nie mam...

— Plany na przyszłość?

— Dalsze projekty z zakresu służby zdrowia, które pasjonują mnie najbardziej.

Jestem zadowolony ze swojej pracy, dobrze mi się pracuje w zespole i dlatego mimo różnych propozycji pracy w innych miastach w Polsce, a także za granicą, pozostałem w Łodzi, czuję się tutaj potrzebny. Wyróżnienie mnie Nagrodą m. Łodzi uważam za zaszczyt i przyjąłem to również jako wysoką ocenę mojej postawy społecznej.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

„ENIGMA" RAZ JESZCZE

Historia rozpracowania przez kontrwywiad aliancki tajemnicy niemieckiej maszyny do szyfrowania, znanej pod kryptonimem „Enigma", doczekała się na Zachodzie w kilku ostatnich latach szeregu głośnych już dziś prac, że przypomnimy tylko opublikowane we Francji w 1973 roku wspomnienia gen. Gustave'a Bertranda: „ENIGMA" ou la plus grande énigme de la guerre 1939—1945" oraz książki — Fredericka W. Winterbothama: „The Ultra Secret" (Nowy Jork 1974), Charlesa Whitinga: „The Spymasters" (Nowy Jork 1976), czy Davida Kahna: „The Code Breakers" (Nowy Jork 1973) i tym podobne, nie licząc wielu artykułów na ten temat. Jednakże ich lektura budzi u polskiego czytelnika wrażenie istotnego niedosytu, ba, często nawet zdziwienie. Wszyscy bowiem doskonale znamy niezaprzeczalny i fundamentalny wkład polskich kryptografów w odszyfrowanie tej tajemnicy, tymczasem wspomniane książki, bądź poświęcają temu niewiele miejsca, lub wręcz pomijają tę sprawę milczeniem, bądź nawet przypisują własnym specjalistom osiągnięcia Polaków. Chociaż pisano już u nas na ten temat niejednokrotnie, zwracając uwagę na owe luki i tendencyjne przeinaczanie faktów, przytaczając zarazem liczne dowody ogromnej roli odegranej w złamaniu szyfru „Enigmy" przez naszych kryptologów, wydaje się, że warto jeszcze raz powrócić do tej sprawy. Tym bardziej, iż dobrej po temu okazji dostarczają pewne nie publikowane dotychczas materiały i relacje ukazujące we właściwym świetle imponujący wysiłek Polaków, zwłaszcza w okresie lat 1938—39 kiedy wywiad brytyjski i francuski stawiał dopiero pierwsze kroki na drodze do rozpracowania „Enigmy".

Zanim jednak się z nimi zapoznamy, zrekapitulujmy podstawowe fakty. Pojawienie się pierwszych depesz szyfrowanych „mechanicznie", służby nasłuchu radiowego krajów sąsiadujących z Niemcami zarejestrowały w 1926 roku w łączności radiowej Kriegsmarine. Nieco później podobne meldunki zakodowane przy pomocy maszyny do szyfrowania typu „Enigma" wykrywano stopniowo w łączności Wehrmachtu (od lipca 1928 roku), Luftwaffe (od sierpnia 1935 r.) oraz policji, SD i gestapo (od września 1937 roku). Jednocześnie następowała sukcesywna eliminacja „ręcznego procesu szyfrowania", którym posługiwano się jedynie w wypadkach nadzwyczajnych (uszkodzenie maszyny szyfrującej), lub podczas okresowych ćwiczeń różnych formacji. W rezultacie tak szyfrowana łączność niemiecka stała się niebawem nieprzeniknioną barierą dla wszystkich służb kryptologicznych, w tym także polskich. Zmusiło to więc nasz kontrwywiad wojskowy (Oddział II) do podjęcia szczegółowych i szeroko zakrojonych prac badawczych, które mogłyby się przyczynić do rozwiązania zagadki ściśle tajnego szyfru „Enigmy".

Wspomniane prace rozpoczęto już na przełomie lat 1928—29, kiedy Sztab Generalny zorganizował grupę wybitnych specjalistów — wykładowców, naukowców, profesorów matematyki, którzy mieli za zadanie pomóc w złamaniu kodu „Enigmy", a jednocześnie zapoznać fachowców wojskowych z najnowszymi osiągnięciami nauki i techniki w dziedzinie kryptologii. Główne centrum badawcze zespołu, którego kadra rekrutowała się z czołowych uniwersytetów i politechnik Polski, mieściło się przy Uniwersytecie Poznańskim.

W pierwszym etapie chodziło o stworzenie odpowiedniego zaplecza naukowego, w tym celu dyrektor Instytutu Matematyki, prof. Zdzisław Krygowski, zorganizował serię specjalistycznych wykładów dla starannie dobranej i najlepiej zapowiadającej się grupy 20 studentów. Wykłady odbywały się poza terenem Uniwersytetu, w pilnie strzeżonych pomieszczeniach. Po trzech miesiącach najlepsi studenci zostali wydzieleni z grupy — jednym z kryteriów oceny była m. in. biegła znajomość języka niemieckiego. Z chwilą otrzymania dyplomów magisterskich, wysłano ich do Warszawy. Najbardziej wyróżniającymi się wśród nich byli: Jerzy Różycki, Marian Rejewski i Henryk Żygalski. Swoją pracę rozpoczęli we wrześniu 1932 roku, w sekcji szyfrowej referatu „Niemcy", znanej pod nazwą „Biuro Szyfrowe 4", której głównym zadaniem było złamanie kodu „Enigmy". Wspomniana grupa miała się odtąd w swej pracy i całej działalności radiowywiadowczej posługiwać kryptonimem „Wicher", który to kryptonim otrzymał najwyższy stopień utajnienia.

W tym okresie niemiecki wywiad wojskowy stale udoskonalał i modyfikował maszynę szyfrującą, m. in. przez wprowadzenie zmiennej liczby obracanych elektrycznie bębnów. Zarówno sam szyfr jak i klucz do niego, były często zmieniane. Ze względu na fakt, że Wehrmacht, Kriegsmarine, Luftwaffe, SS i policja posługując się „Enigmą" stosowały różnorodne systemy kodowania meldunków, powstała konieczność odrębnego ich analizowania i rozpracowywania z osobna każdej wprowadzonej innowacji. Działanie maszyny było kompleksowe i opierało się na systemie obrotowych bębnów, na powierzchni których rozmieszczono 26 liter alfabetu. Litery składające się na treść depeszy były wprowadzane do „Enigmy" za pomocą specjalnej drukarki i następnie „rozsiewane" przez bębny maszyny, tak że Niemcy uważali złamanie kodu bez znajomości klucza (odrębnego dla wysyłającego i odbierającego tekst) prawie za niemożliwe. Przy tym bębny były również okresowo zmieniane i do 1938 roku stwierdzono istnienie pięciu rodzajów różnych bębnów.

Ogrom zadania nie przeraził jednak naszych specjalistów i przystąpili oni do prac nad złamaniem tajemnicy szyfru z nadzieją na końcowy sukces. Pewien optymizm był uzasadniony tym, że ci młodzi matematycy o umysłach analitycznych, nie skażonych tradycyjnymi schematami rozumowania, mogli w pełni wkorzystać swoje zdolności lingwistyczne i umiejętności abstrakcyjnego myślenia, śmiało formułowali nowe koncepcje z dziedziny rachunku prawdopodobieństwa, permutacji i teorii grup. Z kolei kontrwywiad udostępniał naukowcom informacje o najnowszych osiągnięciach kryptologii i dostarczał najnowocześniejszych środków z tego zakresu. Do ich dyspozycji oddano m. in. małą fabrykę urządzeń telekomunikacyjnych „AVA". Ta, na wpół tajna, zlokalizowana na terenie Warszawy fabryka, pracowała pod nadzorem sekcji kryptologicznej Sztabu Generalnego, kierowanej przez majora Maksymiliana Ciężkiego dostarczając niezbędnego dla celów deszyfracji sprzętu i wyposażenia technicznego. Antoni Palluth, cywilny dyrektor fabryki „AVA", zakupił nawet model „Enigmy", opartej na holenderskim wzorcu maszyny rotorowej z systemem szyfrującym, opatentowany w 1919 roku (pierwowzór niemieckiej „Enigmy) i przekazał go młodym analitykom.

Polski wywiad współpracował również ściśle na tym polu z wywiadem francuskim, otrzymując kryptologiczne dokumenty z Paryża i z francuskiej sekcji deszyfracji, kierowanej przez kapitana Gustave'a Bertranda. Francuzi, informowali naszych specjalistów, że Niemcy stale posługują się systemem „Enigma", ale zarówno oni sami, jak i Brytyjczycy, nie byli w stanie złamać niemieckiego szyfru wojskowego.

A oto, co pisze na temat prac nad tajemnicą „Enigmy" ówczesny szef polskiego kontrwywiadu, pułkownik Stefan Mayer:

„Słusznie przypuszczając, że „Enigma", aktualnie wykorzystywana dla celów militarnych, jest egzemplarzem pochodnym ogólnie dostępnego modelu z 1919 roku, wspomniana już grupa naszych kryptologów rozpoczęła pracę celem ustalenia jakiego rodzaju różnice i ulepszenia zostały wprowadzone w wojskowym typie „Enigmy". Bez wątpienia lokalizowały się one przede wszystkim w wewnętrznych połączeniach elektrycznych trzech bębnów, które tworzyły główną, zasadniczą część mechanizmu szyfrującego maszyny. Wykorzystując pewne wskazówki, zawarte w szyfrowanym materiale Kriegsmarine, nasi kryptologowie przede wszystkim rozwiązali problem działania tzw. „walców inwersyjnych" (reflektorów). Następnie odnieśli sukces dokonując rekonstrukcji układu wewnętrznych połączeń elektrycznych między trzema bębnami. Bezpośrednim następstwem było wykonanie w fabryce „AVA" (pod nadzorem majora Ciężkiego) i technicznym kierownictwem inż. Pallutha), 15 kopii zrekonstruowanej wojskowej wersji „Enigmy". Pod koniec 1937 roku nasi kryptologowie całkowicie opanowali zdolność odczytywania przechwyconych niemieckich radiogramów szyfrowanych przy pomocy „Enigmy". W styczniu 1938 roku przeprowadziliśmy dwutygodniowy test, mający na celu ustalenie poziomu deszyfracji materiału przechwytywanego z „Enigmy". Około 75 proc. zawartości tego materiału zostało rozszyfrowane. Aby poddać kontroli służby deszyfrujące, każdego dnia osobiście wybierałem radiogramy z przechwyconego materiału i nakazywałem, aby ich treść rozszyfrowywano w mojej obecności. Rezultaty były doskonałe".

Celem dalszego usprawnienia i przyśpieszenia procesu deszyfracji depesz „Enigmy", polscy specjaliści skonstruowali maszyny kryptograficzne o nazwie „Bomba". Jak wspomina jeden z członków tego zespołu, Tadeusz Lisicki: „te kryptograficzne agregaty stanowiły jeden z pierwszych współczesnych komputerów".

Wszelkie informacje dotyczące złamania kodu „Enigmy" zostały otoczone tak ścisłą tajemnicą, że nawet wysoko postawieni oficerowie sztabu generalnego, wykorzystujący rozszyfrowane meldunki, nie znali źródła ich pochodzenia. Jednakże po pewnym czasie wartość uzyskiwanych tą drogą informacji zakwestionował szef niemieckiej sekcji polskiego wywiadu, major Jan Leśniak, który swoje wątpliwości w tym względzie przedstawił szefowi Sztabu Generalnego, gen. Wacławowi Stachiewiczowi. Poinformowany następnie przez pułkownika Mayera o źródle raportów grupy „Wicher", major Leśniak otrzymał polecenie nawiązania ścisłej współpracy z szefem Biura Szyfrów, podpułkownikiem Gwido Langerem. Od tego momentu obie sekcje naszego wywiadu dokonywały regularnie wymiany szczegółowej informacji na ten temat.

Stan taki utrzymywał się do chwili wkroczenia kryzysu czechosłowackiego w fazę kulminacyjną (konferencja w Monachium), tj. do 15 września 1938 roku, kiedy to Niemcy nagle dokonali zmiany szyfru „Enigmy", wprowadzając piąty, a zarazem ostatni bęben. Nasi kryptologowie spodziewali się, tej zmiany już w lecie tego roku, gdy polscy agenci na terenie Rzeszy, pracujący dla bydgoskiej ekspozytury majora Jana Żychonia, donieśli, że niemiecki kontrwywiad zamierza wykorzystać w pracy „Enigmy" dwa dodatkowe bębny. O przewidywanej modyfikacji poinformował nasz wywiad agent sekcji służby łączności Luftwaffe. Uznano to równocześnie za sygnał zbliżającego się wybuchu wojny.

Fakt wprowadzenia dodatkowego bębna praktycznie uniemożliwiał dalsze roszyfrowywanie niemieckiej łączności wojskowej i postawił zespół naszych kryptologów przed nowym, bardzo trudnym zadaniem rozwiązania zagadki wewnętrznych połączeń między bębnami, których to prac niestety nie ukończono przed wybuchem wojny. Pomimo uruchomienia nowego systemu w połowie września, ustalono, że w łączności radiowej SD (Sicherheitsdienst) nie dokonano tak drastycznych zmian szyfru, jak to miało miejsce w Wehrmachcie i Luftwaffe. Niedopatrzenie to umożliwiło polskim kryptologom złamanie kodu i swobodny odczyt meludunków radiowych SD. Jak wspomina Marian Rejewski, dostarczyło to naszemu Sztabowi Generalnemu dodatkowej i bardzo cennej informacji o niemieckich planach wojskowych. Szyfrowane depesze SD były odczytywane przez polski wywiad aż do sierpnia 1939 roku.

Szef Sztabu Generalnego, gen. brygady Wacław Stachiewicz, wydał w lipcu 1939 roku polecenie nawiązania bezpośredniego kontaktu przez przedstawicieli sekcji kryptologicznej i Biura Szyfrów naszego wywiadu z odpowiednimi czynnikami w Paryżu i Londynie. Do spotkania doszło w Warszawie w dniach 25—27 lipca, gdzie Polacy przekazali Francuzom i Anglikom zasadnicze informacje dotyczące niemieckiej „Enigmy". Stronę polską na tej konferencji reprezentowali podpułkownik Gwido Langer i major Maksymilian Ciężki. Ze strony francuskiej obecni byli major Gustave Bertrand i kapitan Bracquenie, reprezentujący sekcję szyfrów (Section d'Examen), zaś ze strony brytyjskiej — komandor por. Alistair Denniston i kryptolog Dillwyn Knox oraz zastępca szefa Secret Intelligence Service, pułkownik Steward Menzies (jako „obserwator").

Zarówno Francuzi, jak i Anglicy, byli całkowicie zaskoczeni i pełni podziwu dla osiągnięć naszych kryptologów, bowiem ani w Londynie ani w Paryżu nie zanotowano prawie żadnych sukcesów w pracach nad rozszyfrowaniem kodu „Enigmy". Strona polska obiecała przekazać wywiadowi francuskiemu i brytyjskiemu wykonane u nas kopie najnowszych modeli „Enigmy". Modele te zostały dostarczone przedstawicielom francuskiego „Deuxieme Bureau" w sierpniu 1939 roku. Oddajmy jeszcze raz głos pułkownikowi Stefanowi Mayerowi:

„...Nie mogę stwierdzić, jaką koncepcję reprezentowały brytyjskie służby wywiadowcze w odniesieniu do tej sprawy. Chociaż my mieliśmy prawo uważać, że strona brytyjska traktowała całe to spotkanie jako oficjalne nawiązanie kontaktów między służbami wywiadowczymi. Komandor por. Denniston i pan Knox zostali nam przedstawieni (mnie i podpułkownikowi Langerowi) przez majora Bertranda jako uznani reprezentanci brytyjskiej służby kryptologicznej. W tej sytuacji narada nie miała żadną miarą charakteru półprywatnego spotkania przedstawicieli wywiadów, lecz była formalnym kontaktem między dwoma służbami".

Major Bertrand otrzymał od naszych specjalistów nie tylko dwa egzemplarze „Enigmy" (jeden dla Londynu, drugi dla Paryża), ale również rysunki techniczne polskiego urządzenia pomocniczego „Bomba", umożliwiającego przyśpieszenie procesu obliczeń kryptologicznych. Jednocześnie Polacy zwrócili się do Francuzów i Brytyjczyków z prośbą nawiązania ścisłej współpracy w przezwyciężeniu nowych trudności, które wyłoniły się z chwilą wprowadzenia przez Niemców dodatkowych bębnów do systemu szyfrowania radiogramów za pośrednictwem „Enigmy". W rezultacie alianci uzyskali całkowicie opracowane teorie deszyfracji oraz maszyny kodujące. Tymczasem nasi specjaliści jako jedyni dysponujący kluczem do ogólnej teorii kodu „Enigmy", kontynuowali prace nad rozszyfrowaniem tajemnicy aż do momentu wybuchu wojny. Kiedy 1 września armia niemiecka przekroczyła granice Polski, większość kryptologów została szybko, via Rumunia przerzucona do Francji. Za zgodą polskiego rządu emigracyjnego wywiad francuski zorganizował spośród nich dwie grupy, którym nadano kryptonimy: „Jednostka Z" oraz „P.C. Bruno". Odtąd Polacy kontynuowali badania nad szyfrem „Enigmy" w ścisłej współpracy z aliantami. W 1942 roku część polskiego zespołu kryptologicznego została przerzucona do Anglii, bowiem Brytyjczycy stworzyli we wrześniu 1939 roku swą własną bazę kryptologiczną z siedzibą w Bletchey Park, w pobliżu Londynu. Prace deszyfracyjne prowadzone przez owo centrum opatrzone zostały kryptonimem „Ultra". Rozpoczęła się więc nowa faza bitwy o tajemnice. Nie byłoby to jednak możliwe, gdyby nie wydatna pomoc polskich specjalistów, którzy w okresie od września 1939 roku do stycznia 1940 roku walnie przyczynili się do znalezienia klucza do nowego szyfru „Enigmy", złamanego ostatecznie we Francji i przekazanego następnie do Bletchey Park.

ANDRZEJ BLAJER

NIE WIEDZIELI

Wielu wybitnych publicystów z wielu krajów wciąż się zastanawia nad wpływem serialu telewizyjnego pod tytułem „Holocaust" na opinię publiczną w Republice Federalnej Niemiec. „Holocaust" jest dziełem filmowców amerykańskich. Ilustruje na przykładzie jednej rodziny zagładę europejskich Żydów, zgotowaną im przez hitlerowców. Z różnych względów nadano ten serial w Bundesrepublice nie w pierwszym, ani nie w drugim, tylko w trzecim programie. A jednak obejrzało go około czternastu milionów obywateli „Bundesrepubliki".

Publicyści francuskiego „Le Monde", amerykańskich tygodników „Time" i „Newsweek", także „Die Zeit" i „Stern" są zadziwiająco zgodni. Wszyscy użyli słowa „szok". Tak, twierdzą oni, „Holocaust" był szokiem dla milionów rodzin w Bundesrepublice.

Odezwali się też krytycy.

Pisze się, że to płaski melodramat w stylu filmów amerykańskich serii „B", że roi się w serialu od pomyłek i błędów w dokumentacji. Mundury przypominają tanią operetkę. Telefony niemieckie nie tak dzwoniły, a lekarze niemieccy nigdy nie mieli emaliowanych tabliczek na drzwiach, tylko mosiężne. Znany pisarz Eugen Kogan napisał, że razi go w „Holocaust" tani sentymentalizm, a wie co pisze, bo spędził w obozie koncentracyjnym „Buchenwald" sześć długich lat. To film komercyjny, dodają historycy — podobny temat winni poruszać ludzie w pełni w tych kwestiach kompetentni i to w dziełach historycznych z całą sumiennością udokumentowanych. A w ogóle zbyt banalne to dzieło, by mogło oddziaływać wychowawczo i nazbyt antyniemieckie, by mogło być skuteczne.

Można by tak długo.

„Holocaust" arcydziełem nie jest.

Nie jest to nawet serial mieszczący się w ocenach dobrych. Przeciętny film zrobiony w oparciu o przeciętną książkę, która pod tymże tytułem, więc, jako „Holocaust", ukazała się w Nowym Jorku. Jej autorem jest Gerald Green z Brooklynu.

Mniejsza o to. Ważniejsza jest reakcja przeciętnego telewidza w RFN na serial. Wypadałoby się zastanowić, czy wstrząsnął czyimś sumieniem, czy dał do myślenia, czy zmusił do refleksji. Słowem, czy był lekcją historii. Bo serial pełen jest przeinaczeń. A niektóre sceny nas, Polaków, oburzają.

Jednego wszakże zaprzeczyć się nie da. „Holocaust" — więc masakra — pokazuje zagładę sześciu milionów osób.

Pokazuje mordowanie tych ludzi w komorach gazowych w momencie, gdy miliony Niemców utożsamiało Hitlera omalże z półbogiem. Kiedy na ulicach niemieckich miast obsypywano Hitlera kwiatami — tysiące ludzi ubijano w obozach, jak zwierzęta. Po to ubijano, aby stało się zadość rojeniom führera o czystości rasy, o narodzie panów i niemieckim posłannictwie.

Podstawowe pytanie wciąż, jak w pierwszych latach po wojnie, brzmi — wiedzieli, czy nie wiedzieli? Wiedzieli, oczywiście. Stąd te wściekłe odpowiedzi na pytania dziennikarzy akredytowanych w Bonn.

— Odczepcie się wreszcie od nas, dobrze? Była wojna, czy nie była? Na wojnie ludzie giną, nie?

— Niemcy też ginęli. A ilu Niemców wymordowali Anglosasi w dywanowych nalotach na otwarte niemieckie miasta?

— A czy Amerykanie są lepsi? Byłoby ciekawe wiedzieć kto wymordował 14 milionów Indian i kto trzymał tyle milionów Murzynów w niewoli na plantacjach bawełny. Kto jak kto, ale Amerykanie na pewno nie są do tego powołani, by nas uczyć moralności.

Nie było zatem przypadkiem, że w chwili, gdy w trzecim programie telewizji wyświetlano „Holocaust", nieznani sprawcy podpalili synagogę w Essen. Podłożono również ładunki wybuchowe pod telewizyjne stacje przekaźnikowe koło Muenster i Koblecji. Nie przypadkiem też pod stają „WDR", która program emitowała, ustawiono wzmocnione posterunki.

Wielu chciałoby zapomnieć.

Młodzi jednak pytają. Pyta to pokolenie, które urodziło się po wojnie i zna hitleryzm z opowiadań rodziców. Skąpa to widocznie była wiedza, skoro aż tylu młodych utrzymuje w ankietach, że dopiero „Holocaust" otworzył im oczy na zbrodnie nazizmu. Bo w szkole, owszem, mówi się o tym, ale pobieżnie. Więc młodzi pytają rodziców — jakże, nie wiedzieliście? A jeśli wiedzieliście, czemu nie protestowaliście? Gdzie był wtedy Kościół?

Wiedzieli, nie wiedzieli?

Nawet Albert Speer, szef zbrojeń, zaufany Hitlera, rzec by można nawet osobisty przyjaciel führera, gorąco się zaklinał na procesie norymberskim, że on nie wiedział. Mordy? Komory gazowe? Nie, pierwszy raz o tym słyszy. Tę samą linię obrony obrały sobie miliony. Ci co wiedzieli, zginęli, albo popełnili samobójstwa.

Ci co zostali są czyści jak łza, o niczym nie mieli zielonego pojęcia. Obozy zagłady? Mord na Żydach, Cyganach, na Polakach, na Francuzach? Masowe mordy obywateli radzieckich? Zbiorowe mogiły? Nie, to coś niesłychanego, jak można w ogóle sądzić, że oni, porządni obywatele jakże cywilizowanego państwa, mogli cokolwiek o tym wiedzieć.

Kanclerz Republiki Federalnej Helmut Schmidt po obejrzeniu „Holocaust" oświadczył:

— Być może, pewne fragmenty serialu są przeinaczone, ale wiele w tym filmie jest rzeczy prawdziwych. To zmusza do krytycznej i moralnej refleksji.

Dużo prościej i w sposób zdecydowanie jasny postawił sprawę Heinrich Nannen, wydawca tygodnika „Stern". W liście otwartym, skierowanym do sześciu milionów czytelników, stwierdził:

— Tak, byłem zbyt tchórzliwy. Dla każdego kto służył jako żołnierz na froncie wschodnim, mordy, owe masowe mogiły ludności cywilnej, owe góry zwłok okaleczonych i nadwęglonych, nie mogły być żadną tajemnicą. Wiedziałem, że w imieniu niemieckiego narodu niszczy się ludzi, jak złe robactwo. I nie odczuwałem wstydu. Nosiłem wówczas mundur oficera „Luftwaffe". Wiedziałem o tym wszystkim, ale byłem zbyt tchórzliwy, by przeciw temu zaprotestować.

Nietzsche kiedyś napisał:

— „Nie, tego zrobić nie mogłem — podpowiada mi niezachwiana duma. Wreszcie — pamięć się poddaje".

Więc, czy ci starsi już dziś panowie nie wiedzieli? Kto chce, niech wierzy.

JAN BĄBIŃSKI

NIE WIEDZIELI?

U PRZYJACIÓŁ

POLSCY AUTORZY W VERLAG DER NATION

W profilu tematycznym berlińskiej oficyny wydawniczej „Verlag der Nation" ważne miejsce zajmuje działalność mająca na celu budowanie mostów między kulturami i historiami różnych narodów, szerzenia wiedzy o współczesnej problematyce życia „u sąsiadów zza miedzy".

— Celowi temu służy m. in. udostępnianie czytelnikowi NRD wybitnych pozycji polskiej beletrystyki historycznej – mówi zastępca dyrektora i naczelny lektor „Verlag der Nation", Hartmut Menard. — W latach sześćdziesiątych, wspólnie z Wydawnictwem Literackim w Krakowie rozpoczęto edycje dzieł Reymonta, Orzeszkowej, Kraszewskiego i Żeromskiego, cieszących się zaskakującą wręcz poczytnością. Ale zainteresowań odbiorców literatury historycznej nie można ograniczać do problematyki życia w XIX wieku. Dlatego też trzeba było sięgnąć do nowszych dziejów Polski. Odzyskanie dawnych ziem zagarniętych przez pruski militaryzm, początek ich zagospodarowania, dokonujące się na nich przemiany — to temat, z którym oficyna berlińska wyszła śmiało do swego czytelnika, prezentując m. in. tom opowiadań współczesnych pisarzy polskich, ukazujących zarówno historyczno-polityczne motywacje powrotu na te ziemie jak i złożoną problematykę ich wrastania w organizm narodowy w pierwszych powojennych latach. Antologia zatytułowana „Im Westen fliesst die Oder" (Odra płynie na Zachodzie) była potrzebna i wartościową pozycją.

Problemy Ziem Zachodnich znajdujemy również w innych wydanych w „Verlag der Nation" pozycjach takich jak choćby „Powrót" Ryszarda Frelka czy „Anna w moim życiu" Jerzego Mańkowskiego. O inspiracyjnej roli wydawnictwa świadczy fakt, że autor „Anny" pisarz poznański młodego pokolenia uzyskał stypendium wydawnicze na pobyt w NRD i zapoznanie się z życiem i pracą Polek, zatrudnionych w zakładach przemysłowych we Frankfurcie nad Odrą. Rodzenie się więzi współpracy i przyjaźni między pracownicami dwóch narodowości może stanowić interesujący przedmiot literackiej obserwacji.

Innym pisarzem, prezentującym ważny okres naszych dziejów, jakim były dokonujące się po wojnie przeobrażenia gospodarcze i społeczne na ziemiach nadodrzańskich, jest Leszek Prorok, którego niemiecki przekład „Wyspiarzy" otrzymał przed paru miesiącami czytelnik NRD. W związku z wydaniem swej książki autor odbył — staraniem „Verlag der Nation" — szereg spotkań z czytelnikami w Berlinie, Lipsku, Magdeburgu i Wernigerode.

Zapytany o rozmiary i formy współpracy z polskimi wydawnictwami, dyr. Menard odwołuje się do długoletnich tradycyjnych już kontaktów z Wydawnictwem Poznańskim z którym w najbliższej przyszłości zamierza wydać wspólnie tom opowiadań pisarzy polskich i NRD. Razem z Wydawnictwem Morskim myśli się o wydaniu antologii prozy o współżyciu polskiej i niemieckiej ludności dawnego Gdańska. Wydawnictwo Morskie „Verlag der Nation" oraz wileńska „Waga" zamierzają w przyszłym roku zaprezentować książkę o sprawach poświęconych problemom pokojowego współżycia narodów rejonu Morza Bałtyckiego.

A co konkretnego z polskiego dorobku literackiego trafi na rynek czytelniczy NRD? Niezmordowany i zasłużony dla naszej literatury tłumacz K. Kelm kończy przekład „Kolumbów" Bratnego. Książka powinna być w sprzedaży w 1981 roku. Myśli się o udostępnieniu tutejszemu czytelnikowi dalszego tomu opowiadań oraz całości „Chłopów" Reymonta. Za rok, dwa, wyjdzie „Marta" i tom opowiadań Orzeszkowej. W dalszej perspektywie: „Babie lato" Auderskiej, „Generał Baroz" Kaden-Bandrowskiego, „Legenda Tatr" Przerwy-Tetmajera i „Czerwone tarcze" Iwaszkiewicza.

* * *

W Niemieckiej Republice Demokratycznej odbywał się I Krajowy Festiwal Filmów dla Dzieci o nagrodę „Złotego Szpaka". Kinematografię polską reprezentował film „Józia" wyprodukowany w zespole „Profil" w kooprodukcji z telewizją NRD. Akcja tego filmu opartego o opowiadania Anny Seghers toczy się w Łodzi w roku 1929.

Miło nam donieść, że reżyser „Józi" Wojciech Fiwek otrzymał Nagrodę Specjalną Ministra Kultury NRD. Wyróżnienie spotkało także dwunastoletnią odtwórczynię roli tytułowej Monikę Alwasiak która otrzymała dyplom honorowy.

j.d.

Już od dłuższego czasu z łamów prasy zachodniej nie schodzą takie wiele mówiące sformułowania, jak: „bezrobocie", „spadek produkcji", „kryzys walutowy", „inflacja"... Szwajcarski tygodnik „Schweizer Illustrierte" poinformował niedawno: „Zamyka się fabryki – widać początki kryzysu'. W ciągu ostatnich kilku lat nawet w dostatniej Szwajcarii zlikwidowano ponad 300 tys. stanowisk pracy. Ale szwajcarscy ekonomiści wyrażają przekonanie, że największe trudności dopiero czekają Szwajcarów.

ZACHÓD

WYSOKA FALA BEZROBOCIA

Również prasa RFN wskazuje, iż optymistyczne prognozy zachodnioniemieckich specjalistów z dziedziny koniunktury, którzy prognozowali, nie wiadomo już który raz z kolei, wzrost ekonomiki, przyniosły rozczarowanie. Tak więc i RFN, którą na Zachodzie zalicza się do najbardziej zamożnych krajów, napotyka na szereg skomplikowanych problemów ekonomicznych. W Japonii, jak informuje tokijski „Mainichi Daily News", siedem największych japońskich kompanii budowy statków zamknęło 23 stocznie spośród 57, przy czym cztery postanowiły nie tylko zamknąć doki, lecz także zmienić ich specjalizację. Podobne informacje zapełniają szpalty gazet i periodyków we Francji, w Kanadzie, we Włoszech, w Hiszpanii i innych krajach Zachodu.

Pogłębiające się trudności ekonomiczne w uprzemysłowionych krajach zachodnich, wskazują, iż najgłębszy na przestrzeni ostatnich lat ekonomiczny kryzys kapitalizmu rozwija się z niesłabnącą siłą. W miejsce oczekiwanego boomu obserwuje się zaledwie chwiejny i słaby wzrost. Jednocześnie zmniejszyła się gwałtownie objętość produkcji w wielu najważniejszych gałęziach przemysłu, takich jak: metalurgia, budownictwo okrętów, włókiennictwo. Po raz pierwszy w historii kapitalizmu, w okresie, który nastąpił po cyklicznym spadku, nie zmniejszyła się armia bezrobotnych. O ile przedtem w stadium ożywienia ekonomiki kapitalistycznej ceny wolno szły w górę, o tyle teraz gwałtownie skaczą, przy jednoczesnym, niemrawym tempie wzrostu. Mariaż wysokiego poziomu bezrobocia z inflacją stał się normalnym zjawiskiem zachodnich społeczeństw.

Jedną z przyczyn tego zjawiska jest utrzymujący się wyścig zbrojeń, który powoduje głębokie ekonomiczne dysproporcje, pochłania ogromne środki pieniężne i materiałowe. Przywódcy świata zachodniego robią co mogą, żeby tylko ominąć te ekonomiczne rafy. Jednakże metody państwowo-monopolistycznego mechanizmu regulacji nie przynoszą już oczekiwanych efektów. Przywódcom największych krajów kapitalistycznych nie udaje się opracować jednolitej strategii, a kolejne próby podjęcia wspólnych wysiłków w przezwyciężeniu zjawisk tego kryzysu spełzają na niczym.

Przez długi czas politycy mocarstw zachodnich usiłowali udowodnić, iż zjawiska kryzysu w ekonomice rozwiniętych krajów kapitalistycznych zostały rzekomo wywołane wyłącznie podwyższeniem cen na naftę. Wiadomo jednak, iż ekonomiczno-socjalne problemy, z którymi boryka się świat zachodni, nie powstały w wyniku wzrostu cen nafty, lecz są uwarunkowane wewnętrznymi trudnościami strukturalnymi. Najbardziej uderzającym rysem ekonomiki krajów zachodnich jest współistnienie wysokiej inflacji z rosnącym bezrobociem. Tempo inflacji wynosi obecnie, w przybliżeniu, osiem procent. rocznie. Jak utrzymuje londyński „Times", poważne problemy inflacyjne pojawiają się obecnie w Stanach Zjednoczonych. Ale także w zachodniej Europie sukcesy zmniejszenia tempa inflacji z lat poprzednich zostały dziś sprowadzone do zera. Wszędzie tam obserwuje się niepełne wykorzystanie mocy produkcyjnych, przy czym w niektórych gałęziach przemysłu widać wyraźnie charakterystyczne zjawiska kryzysowe. Ogólnie rzecz biorąc, niepełne wykorzystanie mocy produkcyjnych w siedmiu największych uprzemysłowionych krajach Zachodu: USA, RFN, Japonii, Francji, Włoch, W. Brytanii i Kanady wynosiło w 1978 r. około 10 proc.

Wszystko, co obserwuje się obecnie w zachodniej Europie nie może sprzyjać zwiększeniu mocy produkcyjnych. Wzrost produkcji w ostatnich dwóch latach był nieciągły i nierówny, stanowiąc zaledwie 3,5 proc. rocznie. W tej sytuacji, zdaniem zachodnich ekspertów, nie ma mowy o zwiększeniu zatrudnienia. Kraje zachodnie muszą się więc wyrzec iluzji, że mogłyby stworzyć warunki pełnego zatrudnienia w jakiejś bliżej określonej przyszłości. Toteż ani rządy krajów zachodnich, ani międzynarodowe organizacje zrzeszające państwa zachodnie nie upierają się przy osiągnięciu tempa wzrostu, wystarczającego do zmniejszenia bezrobocia. Obecnie, w 24 zachodnich krajach uprzemysłowionych, wchodzących do Organizacji Gospodarczej Współpracy i Rozwoju (OECD), jest ponad 16 milionów bezrobotnych i ich liczba z pewnością wzrośnie. Oznak polepszenia koniunktury, na którą Zachód liczy w tym roku, na razie nie widać. Potwierdza to ekonomiczny obserwator nowojorskiego „Time'a", pisząc niedawno m. in.: „Można bez przesady powiedzieć, iż od czasów rewolucji przemysłowej zachodnia Europa nie przeżywała jeszcze w okresie pokoju tak bolesnych przemian w życiu ekonomicznym, jak obecnie".

Kryzys na Zachodzie dotknął wszystkie uprzemysłowione kraje, chociaż w różnym stopniu. Nawet Stany Zjednoczone, to najpotężniejsze mocarstwo zachodniego świata, przeżywają duże trudności ekonomiczne. Amerykański tygodnik „Bussines Week" pisał niedawno: „Wygląda na to, że inflacja tak trwale zagnieździła się w naszym społeczeństwie, że nie sposób jej wyplenić". Mimo przeróżnych recept na ratowanie „chorego dolara" jego stan uległ takiemu pogorszeniu, iż rząd USA zwrócił się do Międzynarodowego Funduszu Walutowego z prośbą o pożyczkę. Jest to wydarzenie bez precedensu w historii działalności tej organizacji — USA po raz pierwszy skorzystały z usług MFW.

Niepokój z powodu spadku aktywności handlowej w 1979 roku rośnie z każdym dniem. Na przykład w kierowniczych kołach korporacji samochodowych w Detroit umacnia się przekonanie, że w 1979 roku sprzedaż nowych samochodów spadnie do poziomu 1975 roku. W Nowym Jorku na giełdzie ledwie się tli, co oddaje po części zaniepokojenie właścicieli wkładów w całym kraju. Przed firmami budowlanymi we wszystkich amerykańskich miastach zarysowuje się perspektywa zmniejszenia budownictwa mieszkaniowego w br., co najmniej o 20 proc. w porównaniu z rokiem 1978. W Waszyngtonie prezydent i jego główny doradca do walki z inflacją uprzedzają, iż „ w wypadku, jeśli próby okiełznania wzrostu zarobków i cen, okażą się bez płodne, cały kraj może ogarnąć głęboki spadek ekonomiczny". Dane ze sprawozdań ekonomicznych zwiększają ogólną nerwowość. Ludność USA zaczyna kupować mniej towarów, co jest ważnym czynnikiem wpływającym na poziom aktywności handlowej. Warunki otrzymania kredytu stały się bardziej sztywne po tym, jak w ślad za National Bank w Chicago nastąpiło ogólne zwiększenie procentu pobieranego od pożyczek. Ceny produktów żywnościowych nieustannie rosną. Zgodnie z danymi Ministerstwa Rolnictwa USA ceny na produkty żywnościowe wzrosły w 1979 roku o 7,5 proc.

Kompanie przemysłowe redukują swoje programy inwestycji kapitałowych. A. Coks, prezydent ekonomicznej firmy konsultatywnej „Marill Linch Economics" powiadomił swoich klientów iż według ostatnich danych zwiększenie wkładów inwestycyjnych do przemysłu wyniesie w tym roku 9 proc. zamiast 11, jak przewidywano wcześniej. Jego zdaniem te i wiele innych faktów świadczą o „oczywistym i bardzo dramatycznym zbliżaniu się ekonomicznego spadku". Na tym tle szczególny niepokój kół przemysłowych USA wzbudziła wypowiedź głównego doradcy prezydenta do walki z inflacją, Alfreda Khana, który powiedział w swoim wystąpieniu m. in.: „Jeśli inflacja zwiększy się, jeśli pozwoli się jej zwiększyć, wcześniej lub później nastąpią takie ciężkie czasy, tak całkowity krach naszej struktury ekonomicznej i naszego ducha, że pogrąży to nas w najgłębszej depresji".

W Stanach Zjednoczonych oczekuje się, iż wzrost cen i podrożenie kredytu pociągną za sobą spadek siły nabywczej ludności. Poziom bezrobocia osiągnie do końca 1979 roku 7 proc. w porównaniu z 5,8 proc. w październiku ub. roku. Tymczasem ekonomiści utrzymują, że działa jeszcze szereg innych sił, które mogą ustrzec USA od „karkołomnego korkociągu". Ale jakie to są siły, poza obniżeniem kursu dolara, co ma pobudzić wzrost eksportu amerykańskiej produkcji, o tym ekonomiści USA jakoś nie mówią.

JERZY CZECH

KRONIKA TYGODNIA

Znów na plan pierwszy wśród międzynarodowych wydarzeń wysuwa się Iran. Kiedy przed tygodniem, relacjonując i komentując sytuację w tym kraju, pisaliśmy: „każdy dzień może ją zmieniać i zaostrzać" — nie myliliśmy się. Wówczas jeszcze nielegalny rząd tymczasowy z Bazarganem na czele — **dziś już jest jedynym rządem Iranu**, uznanym przez wiele państw, a w tej liczbie przez Związek Radziecki i Polskę. Poprzedni gabinet Szapura Bachtiara upadł parlament został rozwiązany, do władzy doszli „chomeiniści". Jest to niewątpliwie największe wydarzenie dla całego regionu od czasu obalenia monarchii w Iraku w 1958 roku.

Rewolucyjne przemiany w Iranie będą miały wielorakie następstwa. Niepokoi się Waszyngton, ale i Tel Aviv. W pierwszym przypadku chodzi o ograniczenie amerykańskich wpływów, w drugim — o całkowite, żeby nie powiedzieć entuzjastyczne poparcie Palestyńczyków dla Chomeiniego. W rozumieniu obu wymienionych stolic wydarzenia w Iranie zmieniają układ sił w tym rejonie.

Tymczasem **nowe władze irańskie pochłonięte są przywracaniem spokoju w kraju** — położeniem kresu aktom samowoli, zakończeniem strajków i uruchamianiem sparaliżowanej od miesięcy gospodarki. W ostatnim okresie przed przewrotem w rękach ludności cywilnej znalazły się duże ilości broni. Mają ją młodzi, nieodpowiedzialni ludzie i kryminaliści. Sprzyja to różnym wybrykom, samosądom i aktom niszczenia mienia. Nowe władze bardzo rygorystycznie ściągają więc broń i karzą jej nielegalnych posiadaczy.

Przenieśmy się teraz do Moskwy, w której składał wizytę francuski minister Spraw Zagranicznych — Jean Francois Poncet. Jak się wydaje — głównym jej celem było **przygotowanie podróży do Związku Radzieckiego prezydenta Giscarda d'Estaing**, którą przewiduje się pod koniec marca. Z całą pewnością moskiewskie rozmowy nie będą dotyczyć wyłącznie stosunków bilateralnych. Dlatego odnotujmy to, co przed kilku dniami na konferencji prasowej w Pałacu Elizejskim powiedział prezydent.

Wyraził on głębokie przekonanie, że **„radzieccy przywódcy oddani są sprawie pokoju i nie mają absolutnie zamiaru podejmować lub popierać jakiejkolwiek akcji militarnej, mogącej godzić w Europę zachodnią"**

Nawiązując do stosunków francuskochińskich prezydent przypomniał, że zostały one nawiązane już w 1964 roku. Francja zawsze uważała, że Chiny powinny zająć należne im miejsce w społeczności międzynarodowej. Ale **rozwój stosunków z tym krajem nie może być wykorzystywany do nasilenia napięcia międzynarodowego.** Francja w takich działaniach nie będzie uczestniczyć.

Omówione tu stwierdzenia Giscarda d'Estaing spotkały się z żywymi komentarzami prasy zachodniej, która przede wszystkim wydobywa „chiński wątek" wystąpienia. Zabrzmiał on — piszą niektórzy komentatorzy — jak ostrzeżenie pod adresem tych, którzy chcieliby grać chińską kartę przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Skoro już o Chinach mowa prowokacje graniczne zmieniły się w agresywną wojnę przeciw Wietnamowi.

Wyraz zaniepokojenia tą sytuacją dała ostatnio Światowa Rada Pokoju, publikując specjalne oświadczenie. — Posunięcia Chin — czytamy — stanowią poważne naruszenie Karty Narodów Zjednoczonych i po raz kolejny potwierdzają ekspansjonistyczny, hegemonistyczny charakter polityki Pekinu, zagrażającej pokojowi i bezpieczeństwu nie tylko w Azji Południowo-Wschodniej, lecz także na całym świecie. Rada wezwała wszystkie organizacje narodowe i międzynarodowe do wyrażenia poparcia i udzielenia pomocy narodowi wietnamskiemu w jego walce o zachowanie suwerenności i integralności.

Powracający często w naszych przeglądach wydarzeń światowych temat bliskowschodni dziś odnotujmy przy pomocy wypowiedzi sekretarza generalnego ONZ — K. Waldheima. Stwierdził on w ub. tygodniu, że **konflikt może być rozwiązany tylko w wyniku negocjacji wszystkich zainteresowanych stron — przy udziale Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego.** Kluczowym zagadnieniem jakiegokolwiek przyszłego porozumienia musi być kwestia palestyńska. Oświadczenie to nabiera szczególnego znaczenia wobec nowych prób ożywienia dialogu egipsko-izraelskiego, którego celem jest przecież separatystyczny układ.

W. SŁAWSKI

Z ŁAMÓW PRASY ŚWIATOWEJ

◄ Trzeba było ostrych protestów, zdecydowanych wystąpień uczestników Ruchu Oporu i weteranów II wojny światowej, żeby zmusić francuską telewizję do zaniechania przekazu audycji, poświęconej jednemu z byłych ministrów Hitlera — Speerowi. Przygotowanie w II programie telewizji audycji o jednym z nazistowskich liderów wskazuje, jak lekceważąco odnosi się ona do historii swego narodu. Historii krwawo znaczonej zbrodniami nazistowskich okupantów, o której chcą widocznie, żebyśmy zapomnieli. Jak inaczej można by sobie wytłumaczyć fakt, iż w ostatnim czasie na ekranach telewizorów paradowali zbrodniarze wojenni, tacy jak Rudolf Hess. Stanowisko francuskiej telewizji jest tym bardziej oburzające, że już od 20 lat odrzuca ona propozycję Towarzystwa b. Więźniów Chateaubriand przygotowania audycji dotyczącej rozstrzelania w obozie Chateaubriand 27 działaczy związkowych i komunistów, więzionych tam w charakterze zakładników, według spisu sporządzonego przez ministra b. rządu Petaina — Puche. Widać bohaterowie Francji nie zasłużyli sobie na uwagę francuskiej telewizji.

„L'HUMANITE" — PARYŻ

◄ Prywatny, zachodnioniemiecki jacht „Gwiazda Północy IV", powinien był już opuścić wyspę Antigua na Morzu Karaibskim i skierować się przez Atlantyk do Lizbony. Jednakże do oznaczonego miejsca jacht nie dopłynął. Mimo energicznych poszukiwań jaskrawo czerwonego jachtu w szerokie żółte pasy, nie odnaleziono go. Dowiedziano się tylko, że płynął w pobliżu wyspy Martyniki, a następnie niedaleko Saint Vincent, tj. na południe od planowanego kursu. Przypuszcza się, iż jacht, podobnie jak wiele innych, wpadł w ręce współczesnych piratów. W ciągu ostatnich czterech lat rejon ten stał się ich siedliskiem, a rejs: kolumbijski półwysep Guahira — wybrzeże Florydy ożywioną magistralą handlu narkotykami. 1350 mil błotnistego wybrzeża Florydy, pokrytego gęstymi zaroślami, nie można utrzymać pod stałą kontrolą. Jak przypuszczają amerykańscy specjaliści do walki z narkotykami, zaledwie 1 proc. marihuany czy kokainy wwożonych tą drogą udaje się przechwycić. Jednym ze sposobów nielegalnego transportu tego niedozwolonego towaru stał się bandycki zabór jachtów. I tak np. w sprawozdaniu złożonym przed komisją do spraw morskiej floty handlowej i rybołóstwa Izby Reprezentantów Kongresu USA wskazuje się, iż w 1971 roku na Południowym Atlantyku, w Zatoce Meksykańskiej, i na rejsach od Wysp Hawajskich do wybrzeży USA zginęło setki małych statków i jachtów wraz z ludźmi. Przypuszcza się, iż wśród członków załóg lub pasażerów znajdują się uzbrojeni gangsterzy, którzy opanowują statek, mordują znajdujących się na nich ludzi, wyrzucają zwłoki za burtę na pożarcie rekinom i po dostarczeniu narkotyków na miejsce, posyłają statek na dno, nie pozostawiając po sobie śladów zbrodni.

„DER SPIEGEL" — HAMBURG

◄ Uczeni otrzymują coraz więcej danych o niebezpiecznym oddziaływaniu hałasu na zdrowie człowieka. W. Michaem z Uniwersytetu Kalifornijskiego poinformował, iż wśród osób zamieszkałych w promieniu 5 km od międzynarodowego lotniska w Los Angeles śmiertelność jest o 19 proc. wyższa niż wśród osób mieszkających w odległości 10 km od lotniska. Podstawowe różnice są związane ze stresem. Spośród przebadanych 80 tys. osób zamieszkałych w pobliżu lotniska wykryto o 40 proc. więcej przypadków udaru serca i śmierci i o 140 proc. więcej przypadków śmierci z powodu marskości wątroby niż wśród takiej samej liczby osób zamieszkałych w większej odległości od lotniska. Prof. Michaem utrzymuje, że jeśli hałas nie jest nawet bezpośrednią przyczyną chorób, to jednak stres wywoływany przez hałas przyśpiesza ich rozwój.

„TIME" — NOWY JORK

Z „LATA 1932"

XXXVII

Ja tylko tak udaję,
Że się nocy nie boję,
Kiedy w moim pokoju
Przed czarnym oknem stoję.

Aby spojrzeć na niebo,
Siłą przymuszam siebie —
I widzę straszne obłoki
I straszne gwiazdy na niebie.

I drzewo takie czarne,
Co rośnie niedaleko,
Gdy schowam się do łóżka,
Zostaje pod powieką.

Przyciskam się do piersi
Twojej, gdzie serce śpiewa,
A w nim prawdziwe szemrzą
Spokojne noce i drzewa.

BREUGHEL

Daj mi dłoń! Morza, rzeki, szubienice
I złotym potem spocone obszary
Płótna — drżą wszystkie przed moim spojrzeniem,
Jak by wiedziały, że im tajemnice
Chcę wyrwać cieniem znaczone i czernią.
Patrz! Białym polem, beczkami i śniegiem
Udrapowali pachołcy Heroda,
Sobie i drzewom patetycznym wierni,
Idą po lodzie: lód szary, lud czarny.
I błękit cofa się przed nimi w góry,
Boi się świata i ludzi się boi,
Stoi spiętrzony w lodowiec koszmarny,
Jak gdyby niebo padając zastygło.
Na miejscu nieba pustka, że chyba nie pustsze
Jest moje serce, w którym kwinta mieszka,
Jak Breughelowskie, skrzywiona straszydło.
Bądź moim, wierny. Patrz na tę korwetę
Żaglami dżumy w port żałosny gnaną
I zgódź się ze mną na miłość okropną,
Szczęście straszliwe, i bierz za kobietę
Tę szubienicę, którą hańbi sroka.
Trumna ogromna, ziemia nieskończona!
Morze straszliwe, kadź nieogarniona,
Na której wyspy gasną jak bańki i oka,
Jest takie samo jak my i zdziwione
Cofa się od nas, zapomina Boga,
Marszczy się, kurczy niby skóra starej,
Którą szatani pojęli za żonę —
I ziemię gryzie, przeżuwa i łyka.
Nie ma nad ziemią nic, nawet obłoku,
I w morzu tylko, niby wielka ryba,
Pływak umarły. Patrz, to Ikar, Ikar!

Z „LATA 1932"

V

(piosenka z Pass Lueg)

Nie kuś mnie, pomywaczko zielonych talerzy,
Bo dziś jestem zmęczony, trzeba spocząć trocha,
Bo jeśli ja chcę kochać, to już jak należy —
Bo kto nie całkiem kocha, ten wcale nie kocha.

Lecz kochać — to się wiązać. A ja muszę w drogę
I nie możesz się nawet o to na mnie gniewać.
Że cię całować nie chcę i pieścić nie mogę —
Bo chcę iść coraz dalej — coraz głośniej śpiewać.

Zdjęcia: ANDRZEJ WACH

STARY POETA

I.

Poeta mówi:
Żono! Widzisz te dwie muchy
na parapecie okna
zabite muchozolem
Tyleż one znaczą we wszechświecie
co nasze martwe ukochane psy
co leżą tu pod kamieniem

Pamiętasz ten wyraz Tropka
gdy mu się coś mówiło
a on nie rozumiał
marszczył czoło skupiał się
i nie rozumiał
Bo był zwierzątkiem

My też nie rozumiemy

Patrz mówią do nas obłoki
zorze gwiazdy
wiatry
a my nie rozumiemy

Mówią do nas przestrzenie
niebieskie
mówią drzewa rozwijające się
mówią kwiaty
rosną

i mówią
a my nie rozumiemy

I tak już będzie

Będziemy we wszechświecie
jak te dwie martwe muchy
jak dwa zdechłe psy
jak dwie nicości
One też kochały
i chciały zrozumieć

II.

Poeta mówi:
Żono! nie odchodź
Zostań chwilę ze mną

Chcę być sam
A kiedy ty odejdziesz
Zaraz przyjdą tacy:

Tuwim przyjdzie
z gałęzią wielkich jabłek
jak ta co zabrał
z naszego srebrnego wesela

Czesław zaraz przyjdzie
taki młodziutki jak wtedy
kiedy przyjechał z Wilna
ze słowami: ubóstwiam pana
na ustach

Tolek przyjdzie
taki jak w Aidzie
kiedy opowiadał bajki Marysi
przyjdzie Olek z papugą
motyl przyleci
co kiedyś wleciał do naszej
sypialni
wielki i osobliwy

Tak się zaludni
dookoła

Nie odchodź
bądź przy mnie
Bo chcę być sam
sam
taki zupełnie sam

III.

Poeta mówi:
Żono!
Byliśmy kiedyś młodzi
widzieliśmy ocean w Skagen
i Barcelonie
i Matterhorn i Dent du Midi
mieliśmy przyjaciół
gadaliśmy z Lechoniem
z Witkacym z Sartre'em
zachłystywaliśmy się Proustem
czytaliśmy Jądro Ciemności
Annę Kareninę
Popioły

A teraz jesteśmy starzy
jesteśmy sami

Kłócimy się
szukamy ciągle
pogubionych książek

Chustek
zapałek
okularów

A kiedy będziemy przed Panem Nicości
już zaraz
nic to nie będzie znaczyło

że byliśmy piękni
że tańczyliśmy na chłopskich weselach
i na królewskich pokojach

I nikt nas nie zapyta
o nasze muchy
nasze psy
nasze pogubione książki
chustki do nosa
i okulary

GUCIA CZYLI „PARADOKSALNY FENOMEN"

W tygodniku „Polityka" ukazała się ostatnio enuncjacja, której opublikowanie wytłumaczyć sobie można jedynie chwilową (miejmy nadzieję) niedyspozycją kierownika działu kulturalnego Dotychczas bowiem redakcja „Polityki" podobnych niedoróbek nie przepuszczała Mowa o artykule Anny Gode „Słabe wiosła", pomieszczonym w nr 6 z 10. II. 1979 r. Jakże to możliwe, że „Polityka", która do tej pory obśmiewała na swych łamach przysłowiową już Gucię, tropioną wytrwale i konsekwentnie w całej prasie, tym razem udzieliła jej gościny?

Jedną z cech Guć jest to, że operują one wygodnymi stereotypami. W pisaniu o Łodzi stereotyp ten zakłada, że aż do powstania Polski Ludowej robotnicze miasto było wyłącznie miastem potu i kapitalistycznego wyzysku. Tylko jednak Gucie mogą nie wiedzieć, że w okresie międzywojennym miała tu coś do powiedzenia intelektualna lewica. I to ona właśnie identyfikując się z kulturalnymi aspiracjami proletariatu sprawiła, że Łódź międzywojenna publicystycznemu sfereotypowi Guci zaprzecza.

Gucia wie na przykład, że Wydawnictwo Łódzkie „siedzibę odziedziczyło po jakimś fabrykancie średniej gildii" Wolno Guci nie wiedzieć, że gildia to stowarzyszenie kupców albo rzemieślników, a i to tylko w średniowieczu. Ale doprawdy Guci nie wiedzieć nie wolno, kiedy pisze o ruchu wydawniczym w Łodzi, czym była „Myśl Filozoficzna" Hulki-Laskowskiego czy „Kronika" Schlevena. Wolno jej nie wiedzieć, że i w dalszym fragmencie tego samego zdania napisała bzdurę wspominając o jedynej w przedwojennej Łodzi prywatnej ulicy zamykanej na skobel i bramę, bo najwyraźniej pomyliły jej się wojny Ale nie wolno Guci nie wiedzieć, kiedy zabiera się do pisania o kulturze tego miasta, że Łódź pierwsza w międzywojennej Polsce wprowadziła obowiązek szkolny, że przyznane przez to miasto nagrody są chlubą dla polskiej kultury, że dzięki zasiadającym w magistracie socjalistom, takim jak Przecław Smolik, mogła tu właśnie działać grupa a. r., o której Anna Gode zdaje się też nie mieć pojęcia, co wyraźnie wynika z zakończenia jej artykułu.

Polemika z Gucią jest nie tyle trudna, ile żmudna, bo prawie każde zdanie wymaga nie tylko zaprzeczenia, ale i sprostowania *). „Inaczej niż w okresie przedwojennym — zauważa na przykład zupełnie błędnie nasza Gucia, bo nie umie oderwać się od stereotypu — Łódź jest również stosunkowo silnym ośrodkiem życia kulturalnego — choć dość jednostronnego; głównie teatralno-filmowego!"

Ależ Guciu, nie było tu tak źle w okresie II Rzeczypospolitej, teatry borykały się z trudnościami raczej finansowymi, niż artystyczno-ideowymi i może dlatego potrafiły przyciągnąć takie nazwiska, jak: Jaracz, Adwentowicz, Zelwerowicz, Schiller. Była też w okresie międzywojennym Łódź ośrodkiem produkcji filmowej, podobnie jak w Polsce Ludowej Ośrodkiem sztuki filmowej stała się zaś dopiero, kiedy powstał zespół „Profil" Takie były paradoksy w naszej kinematografii. „Paradoksalny fenomen" (ten smaczny epitet pochodzi z artykułu Guci) sprowadzał się do tego, że nawet mieszkający w Łodzi absolwenci szkoły filmowej nie mogli tu dostać zatrudnienia, gdyż zespoły realizatorów (a tylko one mają prawo tworzyć obrazy fabularne) znajdowały się co do jednego w Warszawie. Była natomiast Łódź, o czym Gucia nie wie, bardzo silnym ośrodkiem plastyki dzięki działalności powołanej w Polsce Ludowej PWSSP, w której nauczał Władysław Strzemiński i jego uczeń — Stefan Wegner, a potem cała plejada głośnych dziś wychowanków, takich jak Lech Kunka, Stanisław Fijałkowski, Benon Liberski, Wiesław Garboliński. Wymieniam te nazwiska tylko przykładowo, bo można by wymienić całą listę zamieszkałych w Łodzi malarzy, rzeźbiarzy czy grafików światowej sławy, których twórczość znana jest na antypodach. Ale dla naszej Guci nie ma to żadnego znaczenia, bo dla niej Łódź jest jednostronnie filmowo-teatralna.

Z podobnych założeń wychodząc Gucia zredukowała w Łodzi środowisko literackie. Nie liczbowo, bo rzeczywiście jest ono trzecim z kolei w Polsce, po Warszawie i Krakowie. Ale Gucia, jakby chcąc udowodnić że jednak myśli, świadomie pomniejsza jego znaczenie dla narodowej kultury Atak nie jest zresztą przeprowadzony wprost, tylko instytucjonalnie, bo to bardziej pokrętne. „Łódź... — zauważa pani Gode — ma parę gazet codziennych i własny tygodnik społeczno-literacki. A równocześnie Łódź ma najsłabsze w kraju wydawnictwo, którego znaczenie na mapie naszej literatury współczesnej jest bardzo niewielkie, które publikuje zaledwie pięćdziesiąt książek rocznie — gdy katowicka oficyna „Śląsk" wydaje ich sto, a w Krakowie tylko jedna jedyna redakcja polskiej literatury współczesnej Wydawnictwa Literackiego też wydaje sto tytułów rocznie".

Jeśli mierzyć siłę wydawnictwa ilością publikowanych rocznie tytułów, to oficyna łódzka rzeczywiście nie należy do potentatów. Jeśli jednak analizować związki pomiędzy wydawcą a najbliższym mu środowiskiem literackim, to oficyna łódzka okaze się silniejsza od „Ossolineum". Wydawnictwa „Śląsk" i Wydawnictwa Morskiego, chociaż każde z nich wydaje znacznie większą liczbę tytułów. Jednakże w wypadku „Ossolineum" będzie to przede wszystkim klasyka polska i obca, w wypadku zaś dwu ostatnich wydawnictw — literatura fachowa, co wynika z ich specjalizacji.

Kiedy Anna Gode stwierdza: „A jednak jakieś fatum ciąży właśnie na łódzkiej literaturze, jeżeli mierzyć ją edytorską działalnością „Wydawnictwa Łódzkiego" budzącą jedno, gorzkie pytanie: dlaczego takie wielkie miasto nie może się zdobyć na odpowiadające mu rangą wydawnictwo?" — chciałoby się ją podtrzymać i poprzeć. Przecież dynamika rozwojowa oficyny nie odpowiada ani randze miasta, ani znaczeniu miejscowego środowiska literackiego i humanistycznego, ani wreszcie ambicji samego wydawcy. Ale już po chwili okazuje się, że gdy dwóch mówi to samo, to wcale nie znaczy to samo. Okazuje się przecież, że to wcale nie Anna Gode, tylko wciąż ta sama Gucia operująca tym samym stereotypem. Gucia idąca na całego w zakamuflowanym ataku na łódzkie środowisko literackie, choć z jego wszechstronnego dorobku potrafi wyliczyć jedynie tom żydowskich facecji „Przy szabasowych świecach".

„Nie sposób w szczupłym artykule — sili się niby na obiektywizm Gucia — odpowiedzieć na to pytanie, które zadają sobie zapewne liczni twórcy i działacze kultury. Ale należy — nawet z pewną przesadą — zasygnalizować to upośledzenie literackie wielkiego, świetnie się rozbudowującego i przebudowującego miasta. Dzisiejsza Piotrkowska jest zupełnie inna niż niegdyś, a literacka Piotrkowska jest ciągle tą dawną, z której rodowód szkodził..."

No cóż, jak widać nawet pochwały Guci są niebezpieczne. To świetnie rozbudowujące się przebudowujące miasto potrzebowało przecież aż wybuchu roku 1971, aby nie zdławiło się w murach swoich fabryk liczących niekiedy po sto lat. Trzeba było dopiero specjalnej uchwały partyjno-rządowej na najwyższym szczeblu aby zmienić sytuację ciągnącą się przez dziesięciolecia. To miasto zawsze tylko świadczyło, rzadko dopuszczane do dobrodziejstw, z których inni czerpali niekiedy do granic rozrzutności

Jeśli Gucia chciałaby wiedzieć, dlaczego, używając jej języka, Wydawnictwo Łódzkie ma „słabe wiosła", musiałaby przeczytać książkę prof. Aleksandra Wallisa pt. „Warszawa a układ przestrzenny kultury". Bowiem sytuację łódzkiej oficyny wydawniczej trzeba rozpatrywać modelowo, na tle całokształtu polityki kulturalnej w naszym kraju, która nie była przecież konsekwentna. Pewnie dlatego przez dwadzieścia lat swego istnienia Wydawnictwo Łódzkie nie mogło przeskoczyć pięćdziesięciu tytułów rocznie, chociaż mniej więcej tyle nowych pozycji w ciągu dwunastu miesięcy tworzą łódzcy pisarze. A gdzie miejsce na wznowienia? A gdzie miejsce na przekłady?

Między dynamiką rozwoju przemysłu a rozwojem kultury nie ma prostej zależności, ale jedno i drugie można stymulować. To nie wiosła są słabe, jak wygodnie powiedzieć jest Guci. Wydawniczo Łódź nie jest łodzią, ani nawet łódką, tylko zaledwie balią, obracającą się w kółko pomimo nacisku na wiosła. Nawet jednak balia wykazała swoją przydatność, bo dzięki niej mogło się odrodzić przetrzebione przez exodus do Warszawy łódzkie środowisko literackie. Dzięki niej nawet się rozwinęło. Od blisko dwudziestu lat niemal wszystkie debiuty łódzkich pisarzy, dziś członków ZLP, ukazują się właśnie w łódzkiej oficynie. Dzięki Wydawnictwu Łódzkiemu (a potrafimy mimo wszystko docenić jego znaczenie, bo przez dziewięć powojennych lat łódzki pisarz nie mógł niczego wydrukować we własnym mieście), utrwaliły się na literackiej mapie naszego kraju takie poważne dziś nazwiska prozaików, jak Wacław Biliński, Tadeusz Chróścielewski, Leon Gomolicki, Wiesław Jażdżyński, Wanda Karczewska, Władysław Rymkiewicz, Bernard Sztajnert, Jerzy Wawrzak.

Lista liczących się w kraju poetów byłaby zbyt długa, aby ją tu cytować. Dlatego nie przypadkiem jest Łódź siedzibą Ogólnopolskich Festiwali Poezji. Z chwilą uruchomienia w WŁ redakcji przekładów okazało się, że wśród pisarzy środowiska łódzkiego znaleźć można translatorów zapraszanych dziś do każdej poważniejszej pracy, zwłaszcza gdy idzie o tłumaczenie poezji, przez inne oficyny wydawnicze. To właśnie w Łodzi ukazała się pierwsza w historii z prawdziwego zdarzenia antologia poezji białoruskiej, zredagowana przez Jana Huszczę (także wybitnego poetę i prozaika) oraz antologie znanego poety i tłumacza. Igora Sikiryckiego. Prof. Białokozowicz przy pomocy grupy tłumaczy dał nam antologię obrazującą tematykę polską w poezji narodów Związku Radzieckiego: „Jak unieść wierszem Twoją chwałę".

Nasza Gucia podsumowuje tę działalność jednoznacznie: „Katalogowo istnieje i funkcjonuje coś w rodzaju biblioteki przekładów z literatury radzieckiej, szczególnie przekładów poezji. Istnieją plany opublikowania przekładów ze wszystkich literatur narodów radzieckich". I konkluzja: „Ten dział pracy łodzian przechodzi mało zauważalny i mało ważący".

Zupełnie innego zdania są pisarze radzieccy (często wybitni, jak choćby Maksim Tank) i jugosłowiańscy. Bibliotekę Jugosłowiańską, nawiązującą do tradycji z okresu międzywojennego nasza Gucia gotowa zapisać Wydawnictwu Łódzkiemu na koncie „pewnych plusów", a to ze względu na takie nazwiska — jak Ivo Andric oraz Miodrag Bulatovic, który zresztą pod piórem Guci przechrzczony zostaje na Mirosława. I może dlatego, jakby instynktownie, z artykułu „Polityki" wyrywa się niczym nie uzasadniona pretensja: „W Łodzi funkcjonuje, od wielu już lat, ośrodek filologii jugosłowiańskiej — oto są tego rezultaty. Cztery, pięć tłumaczeń rocznie — systematycznie wydawanych. Mogłoby ich być znacznie więcej, ale obciąża to ujemny parytet wzajemności ze strony Jugosławii wobec literatury polskiej".

No i patrzcie, jaka ta Gucia mądra: zupełnie nie wiadomo do kogo w tym wypadku żal — do jugosłowiańskich przyjaciół? do sytuacji literatury polskiej w świecie? czy do łódzkiego wydawcy?

Choć z drugiej strony cała lista niczym nie uzasadnionych zarzutów upoważnia mnie do myślenia, że Gucia i tak wini Wydawnictwo Łódzkie. Za to, że rzekomo nie wydaje lodzianów (choć prawdą jest, że nie zdobyło się na wydawniczą serię). Ale gdy się ma tak ograniczone możliwości arkuszowe seria wydawnicza usztywnia, a czasem wprost uniemożliwia jakąkolwiek politykę redakcyjną.

Za to, że rzekomo ta lista lodzianów nie jest aktualizowana. „Nadal — stwierdza Gucia i tu przyznaję jej rację, bo dowiódł mi tego artykuł „Słabe wiosła" — Łódź jest słabszym obiektem reporterskiej, literackiej socjologicznej penetracji, niżby to wynikało z jej rangi przemysłowej, gospodarczej, społecznej". Mógłbym, wzorem Guci, zapytać: „Ciekawe — dlaczego?" rozszerzając to pytanie na publicystykę.

I odpowiadam: dopóki Wydawnictwo Łódzkie nie otrzyma większej puli papieru, sprzedawane na pniu, lecz nie wznawiane często od lat książki autorów łódzkich będą przepadały na ugorze literatury polskiej. Wtedy łatwo jest czynić nie umotywowany zarzut: „Fakty są faktami — żadna książka WŁ nie stała się wydarzeniem w literaturze pięknej". Bo jak się zdaje, nasza Gucia przez wydarzenie rozumie bestseller.

Chciałoby się przypomnieć stary napis, który został wytłoczony na jednej z pierwszych miejskich pieczęci Łodzi: „Ex navicula navis", co się tłumaczy zazwyczaj jako „Z małej łódki łódź". W odniesieniu do sytuacji edytorskiej Łodzi oznacza to potrzebę zamiany obracającej się w kółko balii w nowoczesną łódź motorową. A więc, aby środowisko pisarskie w Łodzi mogło się rozwijać, trzeba znacznie poszerzyć bazę wydawniczą W przeciwnym razie z zaistniałej sytuacji będą korzystały tylko Gucie ze szkodą dla kultury polskiej.

KONRAD FREJDLICH

*) *Niektóre inne błędy Guci:*
— *istniał w Łodzi Pasaż Meyera, nie Meiera,*
— *antologię „Niech wiatr ją poniesie" opracował Tadeusz Szewera a nie Tomasz Szewer.*
— *nie ma w Łodzi czegoś takiego (i być nie może), jak ośrodek filologii jugosłowiańskiej (?!)*

SŁABE WIOSŁO?

Jest taka anegdota o malarzu Styce, który malował jakiś święty obraz na klęczkach, aby w ten sposób podkreślić swój, pełen pokory, stosunek do tematu. Raptem z niebios rozległ się gromki głos pana Boga: „Styka! Ty mnie nie maluj na klęczkach, ty mnie maluj d o b r z e".

Malowanie i pisanie „na klęczkach" wcale nie stanowi gwarancji rzetelnego, kompetentnego, odpowiedzialnego — słowem d o b r e g o działania. Powiedziałbym nawet — wręcz przeciwnie, co zresztą przywołany tu casus Styki potwierdza, bo tworzył on raczej knoty.

Jestem więc przeciwnikiem pisania „na klęczkach", ale w równym stopniu jestem przeciwnikiem pisania przy pomocy nóg. Zwłaszcza lewej. Zwłaszcza, gdy kopie.

Niestety, takie wrażenie odniosłem czytając próbkę publicystyki p. Anny Gode („Polityka" nr 6) na temat Wydawnictwa Łódzkiego. Nie marzę wcale o tym, aby o łódzkiej oficynie wydawniczej pisywano z nabożeństwem, bo ma ona swoje plusy i minusy, jak każda firma, ale pragnąłbym, aby publicysta podejmujący ów temat miał świadomość realiów życia, w których działa opisywany przezeń „obiekt".

Minimum kompetencji też się z reguły przydaje.

Odnoszę wrażenie, że młoda publicystka trochę zagubiła się w swoich notatkach. W efekcie znajdziemy w artykule rażące błędy w nazwiskach i tytułach, znajdziemy zachwianie proporcji w opisaniu ponad dwudziestoletniej historii tego wydawnictwa. W końcu nie tylko Dołęga-Mostowicz i Rodziewiczówna, byli u początków działania WŁ, ale cała seria współczesnych powieści („Życie duże i małe" Wilhelma Macha, powieści Minkowskiego i Kabatca, Gomolickiego i Bodnickiego), serie poetyckie z debiutami m. in. Jarosława Marka Rymkiewicza i Bernarda Sztajnerta, tomy wierszy Stanisława Czernika, Mariana Piechala, Włodzimierza Słobodnika... Te kartki z notatek publicystyki gdzieś się widać zapodziały. Albo autorce tak się spodobał własny tytuł „Słabe wiosła", że podporządkowała mu całość swojej publikacji.

Sceptycznie pisze p. Gode na temat sukcesów czytelniczych książki Zbigniewa Kuchowicza o Barbarze Radziwiłłównie, antologii Horacego Safrina, czy „samograjów" w rodzaju Aleksandra Dumasa. Są to, według autorki, bestsellery pozbawione ryzyka intelektualnego. Załóżmy, że to prawda, ale rad bym wiedzieć, gdzież to „ryzyko intelektualne" jest takie wielkie. Zarzut ten można spokojnie postawić prawie każdej oficynie wydawniczej, a już na pewno każdej pozawarszawskiej oficynie, o ograniczonych możliwościach.

Przyrównywanie Wydawnictwa Łódzkiego do takich oficyn, jak „Śląsk", czy Wydawnictwo Literackie, świadczy o kompletnym braku rozeznania. Świadczy o nieznajomości realiów wydawniczych. Tylko ta dziewicza niewiedza mogła podsunąć autorce owe efektowne sformułowanie cenzurki w rodzaju „paradoksalny fenomen", „najsłabsze w kraju wydawnictwo"...

Trudno mieć pretensję do Anny Gode, że nie pisała o Wydawnictwie Łódzkim „na klęczkach". Ale mogła uczynić to swoje „opisanie firmy" bardziej rzetelnym. Bowiem ton jest taki — „Biblioteka Jugosłowiańska" — bardzo dobrze, ale Jugosłowianie nam się za to nie rewanżują...

Przepraszam, no to co?

Albo: „Przekłady z literatury radzieckiej — bardzo dobrze, ale inne wydawnictwa też publikują przekłady radzieckie...".

Przepraszam, no to co?

Seria publikacji dotyczących przeszłości Łodzi — też nie satysfakcjonuje p. Gode. Chciałaby polemicznego, współczesnego reportażu... Każdy by chciał, proszę pani. Wydawnictwo również — zaręczam.

W sumie jest to uroczy dokumencik, jak sobie mała Ania wyobraża działalność firmy edytorskiej. Niestety — za dużo tu wyobraźni, za mało realiów, a i to ich proporcje zostały zwichnięte.

Wydawnictwo Łódzkie nie jest ideałem, jaki sobie wymarzyli ludzie pióra w tym mieście. To pewne. Tym bardziej zasługuje na rzetelną, kompetentną ocenę w najpoważniejszym polskim czasopiśmie. Szkoda, że otrzymaliśmy tylko klasówkę z wyobraźni.

JERZY WILMAŃSKI

W SPRAWIE ŚWIADOMOŚCI FAŁSZYWEJ

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z odpowiedzią Jerzego Rzymowskiego („Odgłosy" nr 6) na mój art. polemiczny („Odgłosy" nr 5) pragnę wyrazić Mu — za pośrednictwem łamów „Odgłosów" — wyrazy uznania, że jednak — w końcu — potrafił przyznać się przynajmniej do dwóch rzeczy: że — cytuję Rzymowskiego — „Biskupski fantazjuje na temat mojej świadomości, ja jednak w swej recenzji dałem mu do tego pewne preteksty"; i że: „z drugiej strony okazuje się, że uprościłem niektóre sądy Biskupskiego, on jednak w swym szkicu w «Osnowie» również dał mi do tego pewne podstawy". Ja tylko — zgodnie ze stanem faktycznym — odwróciłbym kolejność kwestii — że więc: z p i e r w s z e j s t r o n y „okazało się, że uprościłem niektóre sądy Biskupskiego...", podczas gdy d o p i e r o z d r u g i e j okazało się, że „Biskupski fantazjuje na temat mojej świadomości..."

Poza tym cieszę się, że zgadzamy się na pewno w jednym: że warto zajmować się tropieniem przejawów „świadomości fałszywej (w rozumieniu — jak to określa Rzymowski — Marksowskim)".

Z poważaniem —
ANDRZEJ BISKUPSKI
Łódź, dn. 8 lutego 1979 r.

ROBLÈS W POWSZECHNYM

Kiedy w roku 1948 Marcel Herrand, spadkobierca i uczeń „kartelu czterech" — Dullina, Jouveta, Baty'ego i Pitoëffa — wystawił w paryskim Theatre Montparnasse debiut dramatyczny Emmanuela Roblesa „Montserrat", uznano sztukę tę za arcydzieło. Dramat ten w sposób wyraźny nawiązywał do wydarzeń ostatniej wojny i czasów okupacji, do bestialstwa i morderstw popełnianych przez hitlerowskich najeźdźców. Twórca „Montserrata" znany był dotychczas jako autor dwóch powieści: „Męskiego wieku" i „Miejskich wzgórz", w których przedstawiał bohaterów zmagających się z siłami losu i historii, każącej im dokonywać wyborów moralnych między sprawiedliwością a okrucieństwem, między godnością a zdradą ideałów, jakie wyznawali.

Robles, urodzony podobnie jak Albert Camus, w Algierii francuskiej, związany był z nurtem egzystencjalistycznym w jego ateistycznej odmianie. Wieloletnia przyjaźń z autorem „Dżumy" odcisnęła niezaprzeczalny wpływ na jego twórczości. Problematyka, jaką podejmuje Robles w „Montserracie" pozwala zestawić ten dramat z takimi utworami, jak np. „Sprawiedliwi" Camusa czy „Niepogrzebani" Sartre'a.

Akcja utworu dzieje się w roku 1812 w Wenezueli, walczącej o niepodległość z okupantami hiszpańskimi. Młody oficer armii hiszpańskiej, przekonany o słuszności walki Wenezuelczyków w obronie swej niezależności, ukrywa i dopomaga w ucieczce z okupowanych terenów Simonowi Bolivarowi, mającemu wkrótce stać się Libertadorem — Wyzwolicielem kraju i jego bohaterem narodowym. Po ujawnieniu zdrady Montserrat zostaje aresztowany. Kierujący śledztwem pułkownik Izquierdo pragnąc wymusić od niego zeznanie o miejscu, w którym ukrywa się Bolivar, każe pochwycić sześciu zakładników — niewinnych ludzi prosto z ulicy — grożąc ich rozstrzelaniem w razie odmowy zeznań przez Montserrata.

Problem postawiony w dramacie z którym musi się zmagać główny bohater, sprowadza się do pytania: czy życie niewinnych ludzi może być równoważną ceną za — przewidywane w przyszłości, mogące jedynie nastąpić — szczęście narodu? Pytanie to można postawić w formie bardziej uogólnionej: czy poświęcenie życia jednostki można zrównoważyć względami natury ideologicznej? Pytania tego rodzaju stawiali sobie już bohaterowie literatury romantycznej — szczególnie polskiej — ale oni podejmowali decyzję, która dotyczyła ich własnego życia. Bohater Roblesa musi podjąć decyzję o życiu innych.

Akcja sztuki toczy się w zamkniętym pomieszczeniu zamienionym na więzienie, w którym Montserrat zostaje skonfrontowany z tymi, o których życiu ma decydować. Jego przeciągająca się odmowa wydania Bolivara pociąga za sobą kolejne egzekucje: garncarza — ojca pięciorga dzieci, bogacza, kupczącego własnym honorem dla uratowania samego siebie, matki dwojga małych dzieci i młodej pary — dziewczyny i chłopca wenezuelskiego.

Ten spektakl życia i śmierci reżyserowany jest przez bezwzględnego Izquierdę, posiadającego wiele cech camusowskiego Caliguli z dramatu powstałego kilka lat wcześniej. Brak mu jednak owej metafizycznej logiki, którą kieruje się bohater Camusa, podobnie zresztą jak całemu dramatowi Roblesa brakuje wyrazistego zarysowania dylematów, jakie niesie ze sobą przemyślenie do końca absurdalności etyki w sytuacjach krańcowych. Izquierdo mówi o zakładnikach: „Ich winą jest to, że są niewinni" — ale zdanie to, żywcem niemal wyjęte z pism Camusa lub Sartre'a, nie jest — jakby to miało miejsce u tych dwóch autorów — wykładnikiem egzystencjalistycznej tezy, na której opierałby się dramat, lecz jedynie intrepretacją skonstruowanej sytuacji scenicznej, która z kolei — jak i cała akcja sztuki — więcej ma wspólnego z psychologicznym naturalizmem, niż z filozoficznym dramatem egzystencjalistów.

Tak też potraktowali utwór Roblesa twórcy przedstawienia w Teatrze Powszechnym. Reżyser, Roman Kłosowski, położył nacisk właśnie na naturalistyczną, przytłaczającą atmosferę dramatu, każąc aktorom odegrać postacie bohaterów zagubionych i bezwolnych w rękach nieludzkich oprawców. Monotonny rytm spektaklu, przerywany strzałami kolejnych egzekucji, współtworzy tę atmosferę napiętego oczekiwania na zmianę decyzji Montserrata lub — na śmierć. Wszechogarniający strach decyduje o zachowaniach bohaterów i aktorzy robią wszystko, by ten strach oddać.

Aleksander Fogiel w roli Garncarza zawisa wzrokiem na ustach Izquierda, jakby szukając w każdym jego słowie ułaskawienia. Michał Szewczyk, może zbyt groteskowy w roli bogatego Kupca, stworzył charakterystyczną postać mieszczańskiego szubrawca, gotowego na wszystko byle zachować własne życie. Przekonującą postać Matki, której zachowaniami rządzi bardziej strach o życie dzieci, niż o swoje własne, stworzyła Wiesława Grochowska. W sposób problematyczny ustawił reżyser role Ricarda (Leszek Benke) i Eleny (Inez Fichna). Ich działania sprowadzały się do fascynacji sobą nawzajem, co w obliczu grożącej śmierci było rzeczą dosyć nieumotywowaną, tym bardziej, że tekst sztuki nie daje do tego żadnych podstaw.

Wśród postaci zakładników, najwięcej możliwości interpretacyjnych dawała postać Aktora, któremu oprawcy każą przed egzekucją odegrać scenę z dramatu, w którym ofiara przebacza swoim katom. Swoisty to sposób zastosowania teatru w teatrze, którego stawką jest życie i gdzie zatarte zostają granice między dwoma spektaklami. Owo zacieranie się granic, niezwykle trudne dla interpretacji aktorskiej, zostało niedostatecznie chyba uwypuklone przez Bronisława Wrocławskiego, kreującego w przedstawieniu postać Aktora. Zwrócenie się do publiczności w trakcie wygłaszania monologu, który kazano mu odegrać, raczej uwydatnia przedział między dwoma teatrami, zamiast połączyć je w dwuznaczną całość. Wiele można mieć zastrzeżeń do poruszania się na scenie Aleksandra Fogla, odtwarzającego postać tytułową. Aktor w sposób mało przekonujący przedstawił dwuznaczność postawy etycznej swojego bohatera, co przecież w dramacie jest sprawą niebagatelną.

Na czoło wśród zespołu aktorskiego wybijała się gra Mirosława Szonerta w roli Izquierdy. Precyzja i oszczędność ruchów, trafne puentowanie znaczeń wypowiadanego tekstu — to główne cechy ujęcia przez niego tej postaci. Inna rzecz, że jest to najlepiej napisana rola w sztuce Roblesa. Zresztą dramat ten stwarza wiele możliwości dla „wyżycia się" aktorskiego przy ujmowaniu poszczególnych ról, nie tyle może w sensie bogactwa interpretacji jakie proponuje, ile dla stworzenia postaci charakterystycznych. I choć nie zawsze z możliwości tych aktorzy Teatru Powszechnego skorzystali, to jednak nastrój napięcia, jaki potrafili wytworzyć na scenie, udzielił się śledzącej z zapartym tchem akcję widowni. (A że udało im się wciągnąć publiczność w akcję świadczyć może po zakończeniu spektaklu dający się słyszeć szept jednej z pań na widowni na widok kłaniającego się Szonerta: „Temu szuj klaskać nie będę").

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

Teatr Powszechny w Łodzi. Emmanuel Robles, Montserrat. Przekład — Henryk Rostworowski. Reżyseria — Roman Kłosowski. Scenografia — Jan Banucha. Premiera 3.II.1979.

CASSAVETES CZYLI ŹRÓDŁO

Twórczość Johna Cassavetesa była w Polsce do tej pory prawie nieznana. Przed wieloma laty w DKF, a więc w bardzo ograniczonej sieci dystrybucji można było zobaczyć jego głośny debiut z 1959 roku „Cienie", a później „Dziecko czeka", film, który był efektem komercyjnego kompromisu artysty borykającego się z ciągłymi kłopotami produkcyjnymi. Obecnie kontakt z twórczością Cassavetesa mamy pełniejszy, bowiem ukazały się w repertuarze kin jednocześnie dwa jego filmy: głośna „Kobieta pod presją" i „Zabójstwo chińskiego maklera".

Tu konieczna dygresja: ten pierwszy film jest w Łodzi trudno uchwytny, pojawia się na 1—2 dni w jednym z peryferyjnych kin i znika jak UFO. Nie wiem zatem, czy uda się recenzentowi naszego pisma skomentować go, ponieważ Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów w Łodzi już dawno zrezygnowało z dobrego, tradycyjnego obyczaju organizowania stałych pokazów prasowych, co bardzo utrudnia krytyczną informację i ocenę.

„Zabójstwo chińskiego maklera" jest filmem dla Cassavetesa niezmiernie charakterystycznym. To udana próba skojarzenia postulatów kina komercjalnego z ambicjami wysokoartystycznymi. Jednocześnie „Zabójstwo chińskiego maklera" jest dowodem duchowego ojcostwa Cassavetesa wobec nowej generacji najbardziej przebojowych reżyserów amerykańskiej kinematografii: Friedkina, Schatzberga, Coppoli Spielberga, Altmana, Scorsese czy Rafelsona. Cassavetes był pierwszym. Pamiętne „Cienie", jego rewelacyjny debiut otwierający tzw. nowojorską szkołę filmu amerykańskiego, ufundował nową tendencję stylistyczną, czyli cinema direct, które polegało na bezpośrednim, behawiorystycznym zapisie rzeczywistości, na spontanicznej, improwizowanej reżyserii zbliżonej do dokumentu.

Cassavetes dokonał nie tylko generalnej odnowy stylu filmowego, ale również odkrył nowe rejony tematyki społecznej. Przedmiotem jego penetracji paradokumentalnej stała się nowojorska ulica i jej socjalna treść. Sytuacja fabularna i klimat „Cieni" przypomina późniejszy utwór Schatzberga „Strach na wróble" — to również historia przyjaźni życiowych rozbitków krążących bez poczucia celu i sensu życia w labiryntach wielkiej metropolii.

Wczesne filmy Cassavetesa były zbliżone do „chodzonych" filmów francuskiej nowej fali, podobnie jak tamte polegały na odrzuceniu precyzyjnej fabuły, natomiast skupiały się na wnikliwej obserwacji psychologicznej ludzkich stanów i zachowań. Następcy Cassavetesa ten tryb opisu rzeczywistości, a także — co równie istotne — sposób gry aktorskiej zastosowali do formuły kina popularnego, głównie filmu sensacyjnego. Sam Cassavetes podążył ich śladem i rezultatem tego jest właśnie „Zabójstwo chińskiego maklera".

Jest to film, który wbrew atrakcyjnej sugestii tytułu korzysta zaledwie z pozrów sensacyjnego schematu. Tytułowe zabójstwo zmienia wprawdzie w decydujący sposób bieg życia bohatera, ale nie ono jest najważniejsze. Reżyser pragnie uchwycić pewien psychologiczny fenomen amerykańskiego życia zanurzonego w klimacie wielkomiejskiej cywilizacji. Bohater filmu Cosmo Vitelli jest właścicielem dobrze prosperującego tingel-tanglu w Los Angeles. Pędzi dość przypadkowy tryb życia, żyje chwilą, a jego przeżycia są powierzchowne, banalne i bezwartościowe. Przypadkowo zamieszany w gangsterskie porachunki musi dokonać zabójstwa. Śmiertelnie ranny zaczyna niejasno uświadamiać sobie potrzebę życia bardziej autentycznego, ale jest już za późno. Tak mniej więcej można by streścić znaczenie tego filmu, nieco zbliżonego w przesłaniu, a nawet w samej anegdocie do „Powiększenia" Antonioniego. Jednakże mistrzostwo reżyserii Cassavetesa, stylu narracji i atmosfery polega na stworzeniu na ekranie świata tajemniczego i pełnego wieloznaczności. Wyłaniająca się z opisanej historii interpretacja musi być chwiejna i niedookreślona, bowiem mroczna i niedocieczona jest sfotografowana przez artystę rzeczywistość „asfaltowej dżungli" Los Angeles. Długa ekspozycja filmu w niczym nie zapowiada sensacji. Kamera kierowana przez znakomitego operatora Mitchella Breita cierpliwie podąża za odwiedzającym różne zakątki miasta bohaterem, którego rewelacyjnie odtwarza Ben Gazzara. Pozornie nic się nie dzieje, nic niczego nie zapowiada, ale przecież ekran staje się medium niebywale intensywnej wrażliwości wizualnej, wychwytuje masę niuansowych obserwacji wiele znaczących w planie psychologicznym, społecznym i moralnym kondycji bohatera i jego otoczenia. Z tej tętniącej życiem miazgi impresji wykluwa się niepostrzeżenie ludzki dramat i wkrótce nabiera egzystencjalnych wymiarów.

Powie ktoś, że to wszystko już było w kinie, że znamy to na pamięć. Zgoda, ale oglądając film Johna Cassavetesa czujemy się jak u źródła tej wrażliwości filmowej, która na trwałe zawładnęła współczesnym kinem artystycznym.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

„SEN KLOWNA"

Spektakl jest ogromnie interesujący, urodziwy plastycznie, pulsujący reżyserską inwencją, z ogromną dyscypliną prowadzony przez cały zespół. Niekiedy, ośmielam się sądzić, otwiera nowe perspektywy, proponuje rozwiązania, które — każde z osobna — mogłoby stać się inscenizacyjną formułą kolejnych przedstawień. Gdy mały klown, klown marionetka — bardzo pięknie, bez jakiejkolwiek próby kamuflażu prowadzony na oczach widowni przez **Mieczysława Dyrdę** — odlatuje w przestrzeń łagodnie poruszając ramionami — skrzydełkami, pomyślałem, jak bardzo lalkowa byłaby sztuka o cudownym klownie, który nauczył się fruwać... Ale to już był finał i na widowni zerwały się właśnie oklaski.

Przepysznym pomysłem jest też reperowanie trzepaka uszkodzonego przez dziejową burzę, wojnę. Duży klown — ze skupieniem, dyskretnie i ciepło grany w żywym planie przez **Tadeusza Wojana** — daremnie próbuje podnieść jego górną, bezwładnie obwisłą poprzeczkę. Potem jednak, w nagłym przypływie natchnienia, poczyna markować pompowanie i trzepak prostuje się z wolna, jakby wypełniany powietrzem.

Tenże trzepak, oparcie ławki, dwa kubły na śmieci i inne jeszcze przedmioty w chwilę później podejmą radosny, rytmiczny taniec w tajemniczy sposób animowane spod desek sceny, choć przez dłuższy czas byliśmy skłonni sądzić, że to tylko martwa dekoracja obramowująca właściwy plan akcji, mały placyk zagubiony w bezmiarze strzelającego pod niebo miasta.

Obok rozwiązań najwyższej próby są wszelako w przedstawieniu również i sceny słabsze, nie zawsze w pełni domyślane, niekiedy zbyt dosłowne, deklaratywne niemal. Nie będę ich bliżej analizował, wymagałoby to niezwykle szczegółowego opisu, pokuszę się natomiast o parę uwag nieco ogólniejszej natury.

Janusz Ryl-Krystianowski, twórca młodszego pokolenia, który tak ładnie debiutował na scenie „Arlekina" sztuką „Tygrys Pietrek" Hanny Januszewskiej, kolejną reżyserską pracę warsztatową przygotował w oparciu o własny scenariusz i czuło się wyraźnie, że pragnie zawrzeć tu wszystkie przemyślenia, niepokoje i tęsknoty, nagromadzone z biegiem czasu. Ryl-Krystianowski mówi nam o trudno spełnialnych marzeniach człowieka, o zalewie informacji, trudności porozumiewania się, zagrożeniu środowiska naturalnego, potwornościach wojny, narastającej spirali zbrojeń, słowem o wszystkich niemal ważnych i dramatycznych sprawach naszego czasu. Mówi o tym z przejęciem, protestuje szczerze, zanim jednak widz — młody widz, nie zawsze jednakowo przygotowany — zdoła rozszyfrować jedną metaforę, już na scenie rozbudowuje się druga, trzecia i kolejna... A zarazem brakuje fabularnego wątku, jakiejś pretekstowej opowiastki — choćby tak wątłej, jakie tworzył niekiedy Chaplin — ułatwiającej odbiór, prowadzącej młodą publiczność poprzez krainę poetyckich szyfrów.

Bogactwo inwencji twórcy widowiska jest z pewnością niesłychanie obiecującą zapowiedzią na przyszłość, utalentowany reżyser musi jednak nauczyć się ostrzejszego selekcjonowania własnych pomysłów, a także bardziej brać pod uwagę możliwości percepcyjne widowni. Program powiada wprawdzie uczciwie, że „Sen klowna" jest widowiskiem dla dzieci starszych, dodać jednak trzeba, iż winne one być również inteligentne, oczytane i wrażliwe plastycznie. Oczywiście są takie dzieci, podobnie jak i są tacy dorośli, jeżeli jednak dorosły widz wybiera zazwyczaj świadomie i zna skalę trudności jaką niesie za sobą teatr Grotowskiego czy Kantora, to widz młodszy raczej błąka się na oślep, nie wie „co jest grane", a najczęściej nie sam nawet decyduje o wyborze przedstawienia. W jego imieniu wybierają dorośli, rodzice bądź wychowawcy szkolni i obawiam się, że w przypadku „Snu klowna" zdarzać się będą również wybory fałszywe.

Mimo to warto było zaryzykować, warto było stworzyć ten spektakl i warto go — przy wszystkich zgłoszonych zastrzeżeniach — szczerze polecać. Dla jednych stanie się on poetycką przygodą, dla innych — myślowym treningiem, dla jeszcze innych — pasjonującym otwarciem na przebogate możliwości teatru lalek. Operując żywym aktorem i odwołując się do języka pantomimy, Janusz Ryl-Krystianowski nie opuścił bowiem lalkowego terytorium, pokazał jak pięknie może współgrać marionetka z człowiekiem i w jak zadziwiający sposób prowadzący marionetkę aktor staje się kolejnym bohaterem dramatu. Walnie wspierany przez **Bubę Tomalę** — scenografia i przez **Zbigniewa Nawrockiego**, który opracował plastykę scenicznego ruchu, reżyser-inscenizator osiągnął harmonijne współgranie ludzi, lalek i przedmiotów, dał spektakl frapujący nawet w tych partiach, które budzą pewne opory czy prowokują do dyskusji.

Zespół wykonawców — obok wymienionych wyżej: **Irena Ferworn, Urszula Sękowska, Tomasz Pietrasik** i **Włodzimierz Wdowiak** — zdał się być szczerze przejęty przeżywaną teatralną przygodą i z ogromną intensywnością rozgrywał również te sceny, które dawały mniejsze pole do aktorskiego popisu.

Udane było także opracowanie strony muzycznej przez **Marka Jaszczaka**; doprawdy, jeżeli widowisko rodziło się nawet wśród sporów i dyskusji, to osiągnęło jednorodny kształt sceniczny.

JERZY PANASEWICZ

PTL „PINOKIO" — „Sen klowna", widowisko dla dzieci starszych wg scenariusza i w reżyserii **Janusza Ryl-Krystianowskiego** — Scenografia: **Buba Tomala** — Premiera prasowa 6.II. 1979 r.

LEGENDA JAKO INSPIRACJA

Najnowsza powieść Mariana Pilota zdobyła pierwszą nagrodę na zamkniętym konkursie literackim ogłoszonym przez Związek Literatów Polskich oraz Ludową Spółdzielnię Wydawniczą z okazji trzydziestolecia działalności wspomnianej oficyny.

Jest to proza realistyczna i refleksyjna, groteskowa i impresyjna, tyleż konkretna co zmetaforyzowana. Narracja tu nieco zagmatwana: wspomnienia mieszają się z teraźniejszością, wyobrażenia napotykają na twardą rzeczywistość praw przemijania, tęsknota za minionym życiem spaja to wszystko migotliwym refrenem sentymentu. Najogólniej mówiąc na treść „Jednorożca" złożyła się konfrontacja wojennej legendy partyzanckiej, utrwalanej przez pomniki i broszury, z przeżyciami z owych lat żyjącymi w pamięci samych partyzantów. Oto w gminie Wielopole odbywa się uroczystość odsłonięcia pomnika poległej w trakcie wykonywania bojowego zadania Walentyny Osipowny Filippowej, radiotelegrafistki radzieckiej grupy zwiadowczej „Zaria". Na uroczystość tę przybywa dowódca grupy, legendarny „Iwan Ruski" — Władimir Jegorowicz Syromiatin. Wita go i roztacza nad nim opiekę Sylwester Talańsko, naczelnik gminy i główny organizator uroczystości.

To właśnie między nimi przebiega linia podziału, między nimi rozgrywa się konflikt stanowiący osnowę powieściowej fabuły, reprezentują oni bowiem dwie różne postawy wobec przeszłości i jej funkcjonowania we współczesności. Syromiatin „niczym biblijny skąpiec najlepszą cząstkę swego losu, swój jedyny talent, zakopał w ziemi na lata całe, łudząc się przez te długie lata, że powróci kiedyś i podejmie go nienaruszony..." W jego pamięci przeszłość tkwiła jako niezmierne własne przeżycie, jako określone sytuacje, w których uczestniczył, którym poświęcił swe najlepsze lata, siłę, odwagę, i wiedzę. Ale nie na tym polegał błąd, że chciał aby przeszłość była mu bezgranicznie wierna, że nie uwzględnił, iż obraz przeszłości, tej jego najbliższej przeszłości, lecz jednocześnie przeszłości historycznej, dawno go przerósł, że tak naprawdę Syromiatin może być tylko cieniem własnej legendy.

Inaczej Talańsko. Nie był bohaterem w czasie wojny, nawet nie był luźno związany z partyzantami. Do znaczenia doszedł dopiero w wiele lat po wojnie. I to między innymi jako utrwalający partyzancką legendę okolicy, w której mieszkał. I tego właśnie Syromiatin nie może ani pojąć, ani wybaczyć swojemu (kontr)partnerowi. Dla Syromiatina jedyną miarą życia jest bohaterska przeszłość, wysiłek ogromny, lecz już miniony. Talańsko dostosowuje ową przeszłość do wymogów teraźniejszości, nie zapomina przy tym i o dniu jutrzejszym. Przeszłość bowiem (zwłaszcza prawdziwie bohaterska) nie powinna być martwa, musi inspirować pokolenia późniejsze. Taki jest sens konfrontacji obu bohaterów „Jednorożca". Oczywiście obaj nie są całkowicie jednoznaczni w swych postawach. Reprezentują różne sposoby rozumienia biegu dziejów, lecz pokazani zostali nie tylko jako nosiciele określonych postaw. Ukazani zostali jako ludzie żywi, a więc dokuczają im również kłopoty mniejszego kalibru, rozmaite dolegliwości i przywary. Tym ciekawiej wygląda dialog, jaki się między nimi toczy.

Można się też w powieści Mariana Pilota doszukiwać symboliki. Funkcję symbolu może pełnić z powodzeniem na przykład most, jaki buduje były partyzant Dobrychło. Przez niektórych recezentów odczytywany był ów most jako symbol przymierza między dawnymi a nowymi laty. Symbolicznego znaczenia nabiera też opowieść o jednorożcach, które w rzeczywistości ponoć nie istnieją, ale znajduje się ich rogi.

Udział w uroczystościach pozwolił Syromiatinowi wyrwać się z zaklętego kręgu legendy. Pomogło mu w tym również odwiedzenie wszystkich miejsc, w których walczył jego oddział. Zrozumiał, iż legenda nie może być martwa, musi być inspiracją.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

M. Pilot, Jednorożec, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1978, s. 158, nakład 20 000 + 305 egz., cena zł 15.—

WYPRAWA PO IKONY

Inicjatorką wyprawy jest młoda plastyczka Irena. Posłyszawszy o zapomnianych w opuszczonej bieszczadzkiej cerkiewce ikonach i znając ich cenę w dolarach, jaką oferowali za granicą nabywcy dzieł starej sztuki, postanawia je zdobyć. Wtedy stanie się możliwy dłuższy pobyt z mężem gdzieś nad południowym morzem. Układa zatem sprytny, acz prosty plan kradzieży, wtajemniczając weń i angażując męża Zygmunta (Zygę), boksera, gwiazdora polskich ringów. Okoliczności sprzyjają wykonaniu planu. Stefan, ojciec Ireny, stołeczny dygnitarz, decyduje się wziąć udział w uroczystości poświęconej uczczeniu pamięci jednego z bohaterów walk z upowskimi bandami. Z miasteczka, gdzie odbędą się uroczystości, jest blisko do ukrytej w górach świątyni. Irena synchronizuje wypad po łup z podróżą ojca. Wyruszają z Warszawy samochodem we czworo: ona z Zygą oraz Stefan z Haliną, swoją drugą żoną.

Historia tej wyprawy i perypetie z nią związane tworzą fabułę „Ikon", najnowszej powieści Wacława Bilińskiego. Pisarz, znany z umiejętności budowania zwartej, dynamicznej, przykuwającej uwagę akcji, sięgnął w „Ikonach" po model powieści sensacyjnej, w którego ramach, obok tematu właściwego niejako dla tej odmiany gatunkowej, pomieścił wiele niebagatelnych spostrzeżeń obyczajowych i społecznych. Ta dwoistość struktury i problematyki — dwoistość zresztą nieco sztucznie wypreparowana, gdyż w utworze stanowi spójną całość — może decydować o dwojakim odczytaniu powieści, zależnie od rodzaju zainteresowań, a nawet chęci odbiorcy. Można bowiem „Ikony" odczytywać jako powieść czysto sensacyjną. Początkowe sceny, ukazujące „porwanie" obrazów, skupiają uwagę na tym właśnie wątku, wzbudzają niecierpliwe oczekiwanie na ciąg dalszy. Ponadto autor dyskretnie podsyca zaciekawienie i zręcznie stopniuje napięcie, nakazując domyślać się w na pozór mało znaczących faktach doniosłych w przyszłości ich następstw. Taką na przykład niepokojącą czytającego zapowiedzią jest potrącenie pijanego rowerzysty i rysa na błotniku samochodu, niezrównoważone zachowanie się Ireny, picie alkoholu w powrotnej drodze itp. Także częste odchodzenie od głównego wątku może być traktowane jako celowe opóźnianie biegu wydarzeń, służące zwiększeniu emocji. Nagromadzenie, zwłaszcza w końcowej części powieści, różnorodnych komplikacji, powikłań, niespodziewanych zwrotów sytuacji, najlepiej świadczy o sensacyjności faktury „Ikon". A przecież zakończenie utworu dość wyraźnie kłóci się z konwencją finału w powieści sensacyjnej.

W poetyce tej powieści zakończenie przynosi jakieś ostateczne rozwiązanie fabuły, czy konfliktu, negatywne bądź pozytywne rozstrzygnięcie. Zamiarem Ireny było wykradzenie ikon oraz wywiezienie i sprzedanie ich za granicą. Biliński urwał jakby powieść w środku, pokazał realizację pierwszej tylko fazy projektu. Wprawdzie ikony pozostaną w rękach Ireny, lecz nie wiemy, co stanie się później. W konsekwencji powieść nie spełnia oczekiwań czytelnika, któremu autor obiecał coś więcej. To swoiste ziekceważenie konwencji ma, jak się zdaje, istotną wymowę. Pisarz podważając konwencję sygnalizuje jej umowność, jej faktyczną nieistotność czy też wtórność, odsyła do innych znaczeń utworu. Sugeruje pośrednio, że to, co przedstawił, wyczerpuje jego cele i intencje. Nie jestem całkiem pewien, czy Biliński świadomie nadał taką funkcję zakończeniu, jednakże, pomijając zamysł twórcy, wnioski takie nasuwają się po lekturze całego tekstu. Zapewne autorowi „Wypadku" nie chodziło o zbyt wyraźne zaakcentowanie fasadowości przyjętego schematu sensacyjnego. Raczej o wpisanie w ten schemat treści bardziej rozległych i ważkich.

Inną perspektywę odczytania powieści wyznacza choćby zewnętrzny jej podział na cztery części zatytułowane imionami głównych postaci: „Irena", „Stefan", „Zyga", „Halina". W każdej z nich na plan pierwszy wysuwa się tytułowy bohater. Oglądane kolejno z bliższego dystansu ujawniają postacie — w relacji trzecioosobowego narratora — swoje myśli, przekonania, marzenia, wstydliwe zakamarki biografii, epizody z minionego życia, systemy uznawanych wartości. Stopniowo przyrasta wiedza o nich, ukazują się w coraz to pełniejszym świetle i — trzeba to zaznaczyć — w coraz to mniej pochlebnym. W miarę dookreślania charakterologicznego sylwetek pogłębia się proces odsłaniania negatywnych stron ich osobowości. Biliński stawiając wciąż bohaterów w konkretnych sytuacjach, zmuszających do zajmowania stanowisk i dokonywania wyborów moralnych, obnaża ich pospolite, lecz społecznie groźne przywary.

W mniejszym stopniu dotyczy to Ireny i Zygi. Ekscentryczna malarka, cyniczna, przebiegła i energiczna, skłonna do ekscesów erotycznych i towarzyskich, inteligentna, śmiała i w szczególny sposób uczciwa w swoim zepsuciu — stale pozostaje jednakowa. Podporządkowany jej całkowicie Zyga, narzędzie rozkoszy i mocnych doznań, ograniczony intelektualnie, miewa odruchy buntu przeciwko supremacji Ireny, szybko wszakże przez nią poskramiane. Oboje uzyskują w powieści rangę przedstawicieli swoich środowisk: światka artystycznego i środowiska sportowców. Nie tyle podlegają osądowi moralnemu, co uosabiają pewien stan świadomości, mentalność członków określonych społeczności. Halina jest kobietą słabą, bez wyraźnego konturu psychicznego, zdominowaną przez wielkość męża, poddaną jego urokowi, a raczej urokowi jego kariery. Gdy przychodzi moment otrzeźwienia, stać ją jedynie na gorzką rezygnację, a jej protest moralny zatraca się w samolubnym choć dręczącym sumienie niezaangażowaniu. Systematycznie natomiast kompromitowany jest Stefan. Chciałoby się rzec, iż stosownie do wysokiej pozycji, jaką zajmuje w społecznej hierarchii. Konflikt ze Żmudzińskim, uroczystość w miasteczku, fragmenty prywatnego życia i wreszcie wypadek na drodze, najjaskrawiej uwypuklający postawy wszystkich uczestników wyprawy, pokazują człowieka tchórzliwego i zakłamanego moralnie, egoistę i karierowicza, pozera żądnego uznania, władzy i zaszczytów, a przy tym ubogiego duchem i umysłem.

Biliński napisał powieść o tak zwanych porządnych ludziach, ogólnie szanowanych, cieszących się społecznym autorytetem, bądź sławą idołów publiczności, którzy przy bliższym poznaniu okazują się zupełnie nieporządni, którym własne tchórzostwo, znieczulica, wygodnictwo, lęk o karierę, wzgląd na opinię społeczną uniemożliwiają przyjęcie prostych, ludzkich postaw, którzy wszelkie brudy ukryją w domu, na zewnątrz przywdziewając maskę przyzwoitości. Sarkastyczną ironią pobrzmiewa zakończenie powieści, gdy wiadomo już, że nie zostanie wykryta kradzież, że podróżujący nie będą zamieszani w sprawę wypadku na drodze, gdy innymi słowy, wszystko pozostanie tak jak było, a bohaterowie z zadowoleniem powrócą do codziennego życia „porządnych" ludzi. Pisarz trafnie i wnikliwie dostrzegł i ukazał te znamienne dla świadomości współczesnego człowieka przejawy indyferentyzmu moralnego i obywatelskiego, tchórzliwą zgodę na dokonujące się zło. Dobitnie je unaocznił, przedstawiając „funkcjonowanie" zła w konkretnych okolicznościach, w realnych, życiowych sytuacjach. Jest to cenną zaletą „Ikon", które czyta się z dużą satysfakcją i zajęciem.

STANISŁAW MAJCHROWSKI

Wacław Biliński: Ikony. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1978, ss. 204, cena 20 zł, nakł. 50 000 egzemplarzy.

NAD DUNAJCEM PACHNIE SIANO

Jest to kolejna książka*) pisarza, którego poznałem w czasach mojej pracy w Tygodniku Literackim „Wieś", na słynnym zjeździe pisarzy chłopskich w Rytwianach w 1947 r., jako prawie młodego człowieka, pełnego zapału i nadziei na rychły pisarski podbój świata, a który stał się nie wiedzieć kiedy czcigodnym seniorem pisarzy bydgoskich i beskidzkich. Podkreślam te przynależności regionalne dla wskazania osobliwej dwoistości: pisarz od wyzwolenia działający w Bydgoszczy (właśnie działający, a nie, pasywnie — zamieszkały, gdyż i wielokrotny prezes oddziału ZLP i redaktor b. dwutygodnika „Pomorze" i aktywista na wielu polach pracy kulturalnej nad Brdą), pozostaje w swej twórczości niezmiennie i doskonale wierny limanowsko-sądeckiej ziemi lat dziecinnych i młodzieńczych. „Nad Dunajcem pachnie siano" — retrospektywny wybór nowel Dunarowskiego przygotowany przez wydawcę z okazji złotych godów autora z literaturą — jest przykładem tej wierności niezmiernie wymownym. Tom, podobnie jak cała twórczość autora „Weselnych gości", traktuje wyłącznie o życiu chłopów z Beskidu Wyspowego na przestrzeni trzech czy raczej czterech epok: w głębi lat przedwojennych, podczas okupacji, po wyzwoleniu. Najczęściej jednak — co respektuje również zestaw opowiadań wchodzących do omawianej książki — pisze Dunarowski o życiu mieszkańców swej ziemi na długo przed wojną. Przyczyną jest tu znana prawidłowość psychologiczna, iż wrażenia z dzieciństwa i młodości są najsilniejsze, najwyraźniejsze i najtrudniej zatapialne przez zapomnienia falę, a właśnie Dunarowski, nie będąc związany, choćby jako nie-poeta, z pisarzami skupionymi wokół wydawanej przez Czernika w Ostrzeszowie „Okolicy", był i pozostaje autentystą. W tym znaczeniu, że nie pisze o niczym co nie wiąże się ściśle z przeżyciami własnymi bądź ludźmi ze środowiska, z którego się wywodzi i które tak doskonale zna, że i zdarzenia zasłyszane tylko, bulwersujące kiedyś tam czy dziś okolicę, są mu równie bliskie jak te samemu przeżyte. A zatem nigdy nie pisze w oparciu o doświadczenia książkowe.

Wierność, jaką dochowuje tej ziemi i ludziom, nie ogranicza się jedynie do tematyki utworów i szkieletu fabularnego. Manifestuje się ona — co jest zjawiskiem rzadkim, a niezmiernie znamiennym dla Dunarowsikego i właśnie dla autentystów — poprzez sam sposób ukazywania świata serdecznie znajomego, ściślej, poprzez autorskie ustawienie się do swych bohaterów i spraw, które ich czy w danej chwili, czy przez całe życie absorbują. Jest to ustawienie całkiem szczególne, bo nie „nad" nie „z boku" w ogóle nie z perspektywy choćby najbliższej. Autor po prostu staje między swymi bohaterami, jest niejako jednym z nich, tyle że jak człowiek z fantastycznej powieści Wellsa — niewidzialny. Nie ocenia, nie osądza, zdaje się nie dostrzegać ich odmienności i ich wzorców postępowania od obowiązujących powiedzmy w Polsce centralnej, strychulców obyczajowych. Jednym słowem, zdaje się identyfikować w pełni z owym prymitywnym człowiekiem ziemi, pierwotnych instynktów i tym samym zdaje się uznawać ich normy etyczne, postępki, stopień i rodzaj wrażliwości za całkiem naturalne, ba, niemal prawidłowe. Wszakże ani razu nie złapaliśmy Dunarowskiego na tym, by kiedy ujawnił swą dezaprobatę, wynikającą z jego przecież dzisiejszej inności — wykształconego inteligenta intelektualisty. Używam obsesyjnie „zdaje się", gdyż jest to tylko metoda przyjęta dla uzyskania maksymalnej przedmiotowości. Nazwijmy ją jeszcze raz: metoda utożsamiania się z osobami i ukazywanego środowiska, więc eliminacji z przekazu literackiego wszystkiego co byłoby odautorskim inteligenckim wtrętem i uczynienia z utworu niemal autentyku o pełnych walorach dokumentu, z którego dopiero czytelnik, ustawiony w roli badacza socjologa, wyprowadzi wnioski właściwe.

I tak dla przykładu, utożsamiwszy się ze swymi bohaterami, nie da nam żadnej okazji do zachwycania się — niewątpliwym, jak wiemy z autopsji lub gdy jesteśmy leniwi, z przewodnika — pięknem krajobrazu, w którym rozgrywa się akcja. Nie da z bardzo prostej przyczyny: opowiadania Dunarowskiego pozbawione są jakichkolwiek opisów przyrody. Mówią o niej jedynie informacje w rodzaju: bohaterka szła pod sporą górę i zmęczyła się, potem schodziła ze sporej góry i ulżyło jej. A pozbawione są właśnie opisów gwoli wierności w przedstawianiu świata doznań psychicznych tamtych trzeźwych i straszliwie zapracowanych ludzi, a w tym i niemożliwości przeżywania przez nich krajobrazu, gdyż po pierwsze — a Napoleon powiedziałby, że to wystarczy — brakiem skali porównawczej. Bohaterowie utworów Dunarowskiego na ogół nie wypuszczają się zza swego opłotka dalej niż za trzecią wieś czy do najbliższego miasteczka, a więc oczy ich nigdy nie zachwytują pejzażu innego. Ich niemożność zdawania sobie sprawy z uroków otoczenia równa jest niemożności odczuwania wszystkich bez wyjątku mieszkańców naszej planety, że glob ziemski mknie wciąż wirując po elipsie i to, jak twierdzą uczeni, z szybkością większą niż karuzela w wesołym miasteczku. Tamten zapracowany, walczący rozpaczliwie o byt chłop może tylko, jak bohater noweli tytułowej, mechanicznie przytakiwać głośnym zachwytom letników, rozumując logicznie, że takie potakiwanie jest opłacalne, gdyż letniczka ma pieniądze.

Owa wierność dokumentowi bierze się właśnie z tęsknoty. Ta co prawda u większości pisarzy budzi chęć do pozłacania wspomnień, jednak u mniejszości, do której należy Dunarowski, chęć rzeczywistego odnalezienia czasu utraconego — a taki może być tylko czas „nie skłamany niczym". Autor „Opowieści o złej dziewczynie" wyklucza więc w swej praktyce twórczej jakąkolwiek idealizację, choćby retusz. Ukazuje z całą wyrazistością określoną przez byt (karłowate gospodarki na lichej ziemi ze wszystkimi niedogodnościami nierówności terenu (brutalność tych ludzi, pazerność na ziemię i gotowiznę, częsty niedorozwój uczuć wyższych, jeszcze częstszy brak potrzeby ich okazywania, ba, aż do czasu okupacji (która — paradoksalny skutek „pedagogiki" terroru — stała się właśnie szkołą patriotyzmu) brak wyraźniejszej świadomości narodowej i satysfakcji z posiadanego po latach zaboru własnego państwa. Bo bohaterowie opowiadań Dunarowskiego o dwudziestoleciu międzywojennym nie dostrzegają wyraźniejszej różnicy między Austro-Węgrami a Rzeczpospolitą. Każde z tych państw było w ich odczuciu wyłącznie chyba poborcą srogich podatków oraz gorliwym, choć czasem łatwym do przechytrzenia, jak diabeł z ludowych gadek, nakładaczem różnych „sztrafów" — zwłaszcza za przejawy niezadowolenia z rzeczywistości, która, państwu, przeciwnie, zdawała się najwyraźniej podobać. Bohaterowie Dunarowskiego za to są bez reszty oddani pracy na swoim i żądzy posiadania ziemi (żądzy — bo nie jest to ta mistyczna bezinteresowna miłość, jaką przypisywał chłopu romantyzm, Prus i bronowicka Młoda Polka). W opowiadaniu „O złej dziewczynie" żona umierającego gospodarza nie tyle odczuwa żal czy rozpacz na myśl o zbliżającym się Nieuchronnym, ile absorbuje ją problem, czy stary przepisze majątek jej dzieciom, czy dziecku z pierwszego małżeństwa. Nieidalizowanie, rzecz jasna, nie oznacza przeczerniania. Dunarowski ukazuje żelazną pracowitość środowiska, w którym wyrósł, słowność, kult dobrej roboty. Przykładem niech będzie tu scena z noweli „Twardy buk", kiedy to umierający kołodziej ubolewa, że nie ma już sił na wykonanie zamówionego przez sąsiada koła, każe więc, pełen rozterki, wziąć się zaraz za te robotę synowi, a potem co jakiś czas przywołuje go z tym zaczętym kołem do łóżka i wodząc palcami po obręczy sprawdza, czy syn zadanie wykonuje fachowo i rzetelnie.

Monotematyczność i autentyzm Dunarowskiego jest wynikiem świadomego wyboru tematu i metody, nie zaś sprawą konieczności, jak bywa w wypadku twórców niesamodzielnych, bez dostatecznych zdolności kreacyjnych. Wyboru dokonanego raz na zawsze przez pisarza, który w hierarchii ujęć świata przedstawionego na pierwszym miejscu kładzie absolutną przedmiotowość, zaś w hierarchii celów literatury — pełnowartościowy artystycznie... dokument. Pełnowartościowy, bo Dunarowski posiada znakomicie opanowany warsztat pisarski, zwłaszcza nowelisty. Prozę jego cechuje rygor maksymalnej zwięzłości, umiejętności stopniowania napięcia, tworzenia postaci wyrazistych i pełnokrwistych, przy czym poznajemy je nie z charakteryzacji pośredniej, lecz w działaniu i poprzez doskonałe, tknące autentycznością dialogi. Dialogi te dostarczając wdzięcznego przykładu na to, że można osiągnąć wrażenie autentyczności rozmów wiejskich bez uciekania się do gwary. Charakterystyczne dla prozy Dunarowskiego jest pozorne nieprzykładanie się do pointy. Myślę o poincie wyrazistej, po sienkiewiczowsku efektownej, łatwo zapadającej w pamięć. Znowu jest to wynik wierności założeniom artystycznym. Taka piękna pointa musiałaby być właśnie słowem odautorskim, rekapitulacją, komentarzem, minirefleksją, a więc zmusiłaby autora do wyjścia na scenę, co zmąciłoby przedmiotowość dokumentu. Byłaby efektownym zabiegiem literackim, a przecież proza Dunarowskiego najdalsza jest od jakiegokolwiek epatowania czytelnika. Pointa wyrazista jest wreszcie z punktu widzenia prawdy życiowej czymś sztucznym, nie autentycznym, gdyż jest automatycznie zatrzymaniem się, znieruchomieniem, a wiadomo, że życie nie zatrzymuje się ani na chwilę i jedynym rodzajem dostępnego rzeczywistości znieruchomienia jest śmierć.

Nie taję swego sentymentu dla Dunarowskiego i uznania dla tej dobrze robionej, wiernej sobie i przebiegom życiowym prozy. Nie chcę jednak popadać w idealizację, której i sam autor tak nie znosi, toteż muszę na zakończenie stwierdzić, że opowiadania, których akcja toczy się już po wyzwoleniu, są słabsze od tamtych legitymujących się wcześniejszym czasem intrygi. Do słabszych należą „Głośne organy" oraz pochrzęstujący papierem „Ten, o którym świat mówi".

Rozprawa Andrzeja Boruckiego w posłowiu może służyć (zwłaszcza polonistom, którzy polemizując na temat „Osnowy" dali koncert niemożności wyjścia poza język tajemny) za przykład doskonałej polszczyzny, jasności wywodu, co, jak się i tym razem okazało, bynajmniej nie przeszkadza „głębi".

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

*) **Władysław Dunarowski „Nad Dunajcem pachnie siano", Wydawnictwo Morskie, Gdańsk — Bydgoszcz, 1978, cena zł 30.—**

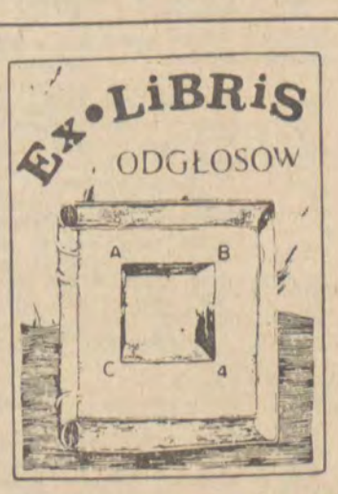

„ISHI — CZŁOWIEK DWÓCH ŚWIATÓW"

W sierpniu 1911 roku, w zagrodzie rzeźni w pobliżu Oroville, w Kalifornii, spostrzeżono człowieka a takowanego przez psy. Był wycieńczony i zagłodzony niemal na śmierć, na głowie miał wypalone prawie do samej skóry włosy, okryty był łachmanem ze starego brezentu. Zaintrygowani rzeźnicy dali znać szeryfowi, że zatrzymali „dzikiego człowieka". To był Ishi. Indianin pochodzący z plemienia Yahi, bezlitośnie prześladowanego i tępionego przez białych osadników w Kalifornii. Ishi był ostatnim członkiem plemienia. On jeden przeżył bezlitosną eksterminację. Spotkanie z Ishi, ostatnim „dzikim Indianinem" stało się w roku 1911 prawdziwą sensacją. Przez następne pięć lat tysiące turystów oglądało, jak Ishi, w salonach Muzeum Antropologii w San Francisco sporządzał groty do strzał, łuki i krzesał ogień. W Muzeum Antropologii, otoczony troskliwą opieką i przyjaźnią naukowców, Ishi żył pięć lat. Z niechęcią wracał do tragicznych wspomnień pierwszych pięćdziesięciu lat swojego życia. Zaaklimatyzował się w cywilizowanym świecie, zaprzyjaźnił z naukowcami.

Życie Ishi w ciągu owych pięciu lat, a także rekonstrukcja historii plemienia Yahi, to temat książki Theodory Kroeber „Ishi — człowiek dwóch światów". Autorka była studentką Uniwersytetu Kalifornijskiego, kiedy Ishi przybył do San Francisco. Znała ludzi z jego najbliższego otoczenia, a w 1926 roku została żoną profesora Alfreda Louisa Kroebera, wybitnego antropologa i serdecznego przyjaciela Ishi.

Theodora Kroeber — „Ishi — człowiek dwóch światów", przełożyła J. Mroczkowska, Wyd. Literackie, Kraków 1978, str. 208, cena zł 40.—

„WEHIKUŁ WYOBRAŹNI"

Popularność wydawanego od 1970 roku przez „Iskry" almanachu „Kroki w nieznane", na który składają się najnowsze utwory z dziedziny science-fiction autorów zagranicznych i polskich, potwierdza tezę, że zapotrzebowanie czytelnicze na różnego rodzaju antologie jest ogromne. Tak zresztą dzieje się na całym świecie. W ogólnej masie publikacji science-fiction najpoważniejszą część stanowią właśnie antologie. Na znaczenie tego rodzaju wydawnictwa zwracał u nas uwagę Stanisław Lem w eseju zawartym w tomie „Wejście na orbitę". Chodzi m. in. o to, że pomysły naukowo-fantastyczne dość szybko się dezaktualizują. Szybka publikacja krótkich form prozatorskich pozwala nie tylko uchronić świeżość i atrakcyjność pomysłu, pozwala również na konfrontację różnych odmian SF, różnorodnych technik narracyjnych i poglądów pisarskich.

Wychodząc z tych założeń Wydawnictwo Poznańskie sprawiło miłośnikom fantastyki miły prezent, którym jest antologia „Wehikuł wyobraźni". Zdaniem wydawcy jest ona „próbą podsumowania prawie 30-letniego okresu rozwoju najnowszej polskiej fantastyki naukowej, jaki upłynął od czasu wydania „Astronautów" w 1951 roku, próbą ukazania coraz większego zróżnicowania formalnego i tematycznego tego gatunku oraz ewolucji dojrzałości problemowej SF przejawiającej się m. in. wzrostem liczby opowiadań o wyraźnie refleksyjnym charakterze". W „Wehikule wyobraźni" czytelnik znajduje utwory dobrze znanych twórców literatury fantastyczno-naukowej, takich jak Krzysztof Boruń Czesław Chruszczewski, Konrad Fijałkowski, Stanisław Lem, Bohdan Petecki, Adam Wiśniewski-Snerg czy Janusz A. Zajdel. Obok nich antologia prezentuje również opowiadania mniej znanych autorów, z których najmłodszy, Marek Pąkciński, urodził się w roku 1960.

„Wehikuł wyobraźni" — antologia opowiadań fantastyczno-naukowych polskich pisarzy współczesnych, wybór: Bronisław Kledzik, Wyd. Poznańskie, Poznań 1978, str. 473, cena zł 50.—

„OPOWIEŚĆ O DWÓCH SIOSTRACH"

Twórczość Arnolda Bennetta, angielskiego pisarza zmarłego w 1931 roku, jest mało znana w Polsce. Przed wojną tłumaczono go co prawda dość często, ale z tych przekładów jedynie „Anna z Pięciu Miast" jest rzeczywiście wartościową pozycją. Inne, w większości, to rezultat masowej produkcji Bennetta, który postanowił zarobić na swoje życie pisaniem. Próbował najpierw zostać prawnikiem, później podjął pracę w redakcji tygodnika „Woman", gdzie zamieszczał recenzje książek i sztuk teatralnych, pisał o modzie i sztuce kulinarnej. Miał już za sobą debiut literacki, kiedy w 1898 roku zanotował w swoim dzienniku: „...postanowiłem całkiem na serio utrzymywać się z beletrystyki. Swego rodzaju chroniczne ubóstwo zmusiło mnie do stwierdzenia faktu, że poza pracą redakcyjną nie zwracałem uwagi na zarabianie pieniędzy: stąd moje postanowienie. Do końca roku 1899 zamierzam poświęcić się wyłącznie pisaniu takiego rodzaju beletrystyki, który popłaca". W roku 1912 pisarz kupuje willę i jacht. W latach I wojny światowej porzuca literaturę na rzecz dziennikarstwa. Staje się znaną osobistością, obraca się w najwyższych sferach, publicznie wypowiada się na temat aktualnych problemów.

W ciągu 30 lat Arnold Bennett opublikował przeszło 80 książek. Wydana w 1908 roku „Opowieść o dwóch siostrach" to bez wątpienia najlepsza i najwszechstronniejsza jego powieść, zasługująca na uwagę również współczesnego czytelnika. Naturalistycznie potraktowana historia starzenia się dwóch sióstr przedstawiona jest na tle zmian dokonujących się na angielskiej prowincji u schyłku XIX wieku. „Opowieść o dwóch siostrach" to swoista kronika epoki posiadająca — podobnie jak powieści Galsworthy'ego — wartość dokumentu historii społecznej.

Arnold Bennett — „Opowieść o dwóch siostrach", tłum. J. Woźniakowski, Czytelnik, W-wa 1978, str. 795, cena zł 90.—

PROPOZYCJE

OSZCZĘDNOŚĆ NA DACHU

Co to znaczy oszczędzać, każdy się w zasadzie orientuje. Jeśli się nie posiada tyle, ile potrzeba, to trzeba tym, co się posiada tak gospodarować, aby jakoś wystarczyło. Na przykład pieniądze. Jeśli się ich nie ma w wystarczającej ilości, to kupuje się rzeczy tanie, aby wydawać mało, aby pieniędzy na dłużej starczyło. Wszakże ludzie mądrzy twierdzą, że człowiek nie posiadający wystarczającej ilości pieniędzy powinien kupować właśnie nie tanie rzeczy, a drogie, aby te rzeczy na dłużej wystarczyły, aby nie musiał często czynić podobnych wydatków. Okazuje się więc, że chociaż wiemy w zasadzie, czym jest oszczędność, to jednak chcąc gospodarować oszczędnie stosujemy się do różnych wzorów i wskazań.

Ponieważ nie posiadamy nadmiaru środków transportu i to zarówno samochodowego, jak i w PKP, stosuje się różne formalne i organizacyjne zabiegi, aby lepiej tym transportem gospodarować, lepiej go wykorzystywać. Skutki tego są jednak różne. Oto na przykład w Poznaniu brakuje „Pepsi-coli", chociaż istniejące tam Wielkopolskie Zakłady Piwowarskie zajmują się jej produkcją. Więcej nawet, w zakładach tych stoi milion butelek z poszukiwaną „Pepsi-colą", ale nie ma jej w sklepach, gdyż nie ma kto tych butelek tam dowieść. Do niedawna WZP posiadały własny transport; teraz został on scentralizowany. Z punktu widzenia teorii racjonalnej gospodarki samochodami posunięcie jest słuszne, wszakże praktyka pokazała coś zupełnie innego. Wniosek stąd oczywiście prosty: należy wymyślać nie tylko racjonalne systemy organizowania transportu, ale jeszcze troszczyć się o to, aby sprawdzały się one w praktyce.

Nasze życie gospodarcze zna pojęcie oszczędności pozornej. WZP odczuły we własnej działalności, co to jest oszczędność pozorna. Ale nie tylko one. Tej zimy, gdy tylko przyjdzie odwilż, skutki oszczędności pozornej poznaje na własnym suficie wielu mieszkańców naszego kraju. Po prostu kapie im z sufitu, bo cieknną dachy, bo przeciekają balkony, bo woda dostaje się do mieszkań i nie jest to nic przyjemnego, chociaż teoretycznie trzeba się cieszyć z odwilży, jako że łagodzi ono skutki tegorocznej zimy.

„Express Wieczorny" postanowił zbadać dogłębnie problem cieknących dachów i zwrócił się w tej sprawie do głównego inżyniera Stołecznego Zarządu Rozbudowy Miasta — Wacława Koneckiego. Okazało się, że specjalistom problem jest dobrze znany, przeprowadzono wnikliwe studia nad stanem dachów i specjaliści dokładnie wiedzą, dlaczego dachy cieknną. Tylko, że z tej wiedzy absolutnie nic nie wynika, bo dachy nadal cieknną i ludziom kapie z sufitów jak tylko na dworze zrobi się odwilż. Tym nie mniej warto się zapoznać z istotą problemu.

Ludzie budują domy już od wieków i przez ten czas zebrali pewne doświadczenia. Wiedzą na przykład, że przeciw śnieżnym zimom najlepsze są dachy spadziste, gdyż śnieg spada z nich sam pod wpływem ciężaru własnego. W krajach ciepłych natomiast można robić dachy prawie płaskie, betonowe, bowiem deszcz tam pada rzadko, a w ciepłe noce dobrze śpi się na takim dachu. W Bułgarii, choć nad Czarnym Morzem śnieg pada rzadko i nie ma go tam dużo, buduje się domy z dachami spadzistymi, krytymi dachówką, bo to i ładniej i woda deszczowa lepiej po takich dachach spływa. Ale nasi architekci postanowili odrzucić dawne doświadczenia i wprowadzili nowe przepisy i mody. Budowano więc dachy płaskie z zewnętrznym odwodnieniem — jak to się fachowo określa. Snieg leżący na dachu taje więc pod wpływem ciepła wydzielanego z budynku i woda spływa ku zewnętrznym krawędziom, ale tu jest chłodniej więc zamarza, tworząc barierę dla nadal płynącej wody z topiącego się w środku dachu śniegu. Nie mając ujścia, woda bez trudu dostawała się do środka budynku.

Zmieniono więc konstrukcję dachów i buduje się teraz dachy z wewnętrznym odwodnianiem, czyli woda spływa do środka dachu, skąd zostaje odprowadzana do kanalizacji. A mimo to i te dachy cieknną. Dlaczego? Inż. Wacław Konecki wyjaśnia, że z dwu powodów. Po pierwsze — że są źle wykonane, a po drugie — dlatego, że pogorszyła się jakość materiałów izolacyjnych. Teraz trzeba wyciągnąć wnioski z tego i poprawić jakość materiałów izolacyjnych, ale to już nie jest sprawą fachowców od dachów, tylko od produkcji papy.

Moja wiedza na temat dachów znacznie się powiększyła i być może nawet się pogłębiła. Powiększyła się też moja wiedza na temat metod oszczędzania, aczkolwiek nie mogę stwierdzić, aby się pogłębiła. Od dawna bowiem każdemu, kto uważnie obserwuje naszą praktykę gospodarczą wiadomo, że oszczędność pozorna osiągnięta w jednej dziedzinie życia gospodarczego wcale nie dowodzi jeszcze tego, że zyska na tym cała gospodarka. Czasem jest przeciwnie. Gospodarka na tym traci. Przykład poznańskiej „Pepsi-coli" i warszawskich dachów jest tego najlepszym dowodem. Ale czy dachy cieknną tylko w Warszawie?

MARCIN RODAK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

RYSZARD MIERNIK

Pisanie,
Ciosanie.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

FAIR PLAY

Pokazywanie ludzi, którzy swoją postawą, zachowaniem, pracą mogą i powinni stanowić wzór dla innych, jest bardzo potrzebne i pożyteczne. Ileż razy jednak łapiemy się na tym, że gdy ktoś nas właściwie, życzliwie i po ludzku potraktuje, to już bieglibyśmy do kwiaciarni po bukiet róż, albo tego kogoś na kolację chętnie byśmy zaprosili. A najczęściej ów ktoś spełnia tylko swój obowiązek. I to już nas cieszy, wręcz szokuje.

W sporcie również, a może nawet tym bardziej, trzeba pokazywać pozytywne wzory. Sport wychowuje. Młodzież chce naśladować dobrych sportowców, być takimi jak oni a więc trzeba, aby były to wzory dobre. Tymczasem nie sami aniołowie grają w piłkę nożną, koszykówkę siatkówkę, jeżdżą na motocyklach, na nartach i tak dalej. Dobrze więc, że organizuje się różne plebiscyty, ustala się listy najlepszych, organizuje się konkursy fair play, dżentelmenów boisk, bieżni i stadionów. Konkurs taki zorganizował właśnie Polski Komitet Olimpijski i „Sztandar Młodych".

Chciałabym tu od razu zastrzec się, że nie jestem przeciwna takim konkursom, ani temu konkursowi w szczególności. Jeśli mam jakieś zastrzeżenia, to co do sposobów uzasadniania kandydatur do miana sportowca postępującego fair play.

Młodzież czasem żartuje, że dżentelmeni dawno już wyginęli i dziś dobrze powodzi się głównie tym, którzy postępują — łagodnie mówiąc — nie po dżentelmeńsku. Jest w tym sporo prawdy, jako, że wszyscy zgodnie obserwujemy inwazję chamstwa. Na boiskach i stadionach również. I tu rodzi się minimalizm naszych wymagań. Utwierdza mnie w tym motywacja niektórych kandydatur do konkursu fair play PKOl i „SM".

I tu znów muszę się zastrzec. Jestem z całym uznaniem dla Lesława Ćmikiewicza. Uważam go za zdolnego piłkarza, utalentowanego, dobrze sprawującego się na boisku, koleżeńskiego. W zasadzie nie mam nic przeciw temu, aby kandydował on do tytułu piłkarza postępującego fair play. Ale trudno mi nie zdziwić się, kiedy czytam, iż Stołeczna Komisja Polskiego Komitetu Olimpijskiego zgłasza Lesława Ćmikiewicza dlatego, że był on pomijany przed mistrzostwami świata w Argentynie, bowiem nie widziano go, z różnych nieistotnych powodów, w składzie kadry narodowej. I Lesław Ćmikiewicz nie załamał się, nadal trenował, doczekał się zmiany wiatrów w PZPN i znalazł się nie tylko w kadrze, ale również grał w meczach międzypaństwowych i dobrze się sprawował.

Wszystko to bardzo dobrze świadczy o Lesławie Ćmikiewiczu, a już w żadnym wypadku nie zmienia o nim mojej opinii, jako o dobrym sportowcu. Nigdy jednak ani przez chwilę nie podejrzewałam, że Lesław Ćmikiewicz jest histeryczną panienką, która gotowa jest załamać się przy byle jakiej przeciwności losu...

Albo inny przykład. Polski Związek Jeździecki wysuwa kandydaturę Antoniego Pacyńskiego, olimpijczyka z Meksyku, który uległ poważnemu wypadkowi i mimo trwałego kalectwa powrócił do uprawiania konnej jazdy i znów znalazł się w krajowej czołówce. Moim zdaniem, a sądzę nie tylko moim, Antoni Pacyński zasługuje na ogromny szacunek. Za hart ducha, silną wolę, za pokonanie samego siebie. Ale co ma do tego fair play?

Przekonuje mnie natomiast kandydatura Edwarda Jancarza. Kiedy zawodnik ten wypadł z motocyklowej konkurencji, oddał swój dobrze przygotowany motocykl debiutującemu koledze, zajął się nim troskliwie, udzielał mu rad, wskazówek i pomocy. I chyba w plebiscycie fair play chodzi o popularyzację takich właśnie postaw. Gdyby bowiem było inaczej, to mam już kandydata na rok przyszły. Może nim zostać Józef Łuszczek, który, jak wiadomo, w tym roku demonstruje bardzo słabą formę i bierze w skórę od konkurentów. Ale wierze, że w Łuszczku obudzi się lew, nie załamie się niczym płaczliwa panienka, złapie formę i znów będzie zbierał laury. Czy wobec tego zasłuży sobie na tytuł sportowca postępującego fair play?

Każdy sportowiec musi zdawać sobie sprawę że kiedy włoży koszulkę z barwami narodowymi czy klubowymi, to stanie przed wieloma przeciwnościami. Jeśli się załamie — żaden z niego sportowiec. Jego obowiązkiem, dobrowolnie przyjętym jest walczyć z tymi przeciwnościami i pokonywać je. Aby zasłużyć sobie na miano sportowca fair play, trzeba zrobić coś więcej, a nie tylko spełniać podstawowy warunek — być dobrym sportowcem nie załamywać się kiedy przychodzi trudniejszy okres. Tak mi się przynajmniej wydaje. Chyba wydaje mi się dobrze?

BOGDA MADEJ

IDĘ SOBIE SPACERKIEM...

„Dużą popularnością wśród Łodzian cieszą się przestronne, wygodne i szybkie wagony tramwajowe typu 805 N" — tak zaczął dziennikarz „Głosu Robotniczego" w dniu 13 lutego wzmiankę o łódzkich tramwajach. Dziennikarz ten oglądał zapewne wagon typu 805 N przed jego puszczeniem na trasę, dlatego wydał mu się przestronny i wygodny. Podczas normalnego, a to już nieomal znaczy n o r m a l n i e n i e n o r m a l n e g o kursowania po mieście, ani ten ani żaden inny wagon przestronnym nie jest, a jazdę nim trudno nazwać wygodną. Jeszcze czasem da się coś powiedzieć o szybkości, zwłaszcza o szybkości startu: zanim połowa czekających na przystanku zdąży się wcisnąć, a już automatyczne drzwi grają swój przeraźliwy hejnał i wóz rusza z kopyta. Zaraz za nim przemyka równie szybko drugi i trzeci tej samej linii, a potem długo, długo nic.

Powstały ogromne dzielnice mieszkaniowe na obrzeżach miasta, setki tysięcy ludzi wyniosło się ze śródmieścia, setki tysięcy dojeżdżać muszą do nowych, pięknych i nowoczesnych zakładów przemysłowych na jeszcze dalszych obrzeżach wielkiej Łodzi.

Notatka w „Głosie Robotniczym", od której zaczęliśmy ten felieton, donosi o tym, że Łódź ma otrzymać 76 nowych wagonów typu 805 N. Myślicie, że możemy się z tego cieszyć? Skądże! Okazuje się, że przybyło miastu nowe zmartwienie: gdzie umieścić nowe wozy? „Wszystkie zajezdnie — cytuję — są już przepełnione. Pewne jest, że nowe wozy nie zmieszczą się przy ulicy Tramwajowej, nie wiadomo też jeszcze czy odpowiedniu ilość będzie mogła przyjąć zajezdnia u Chocianowicach". A więc jeszcze jedno obiektywne nieszczęście. Rozumiesz przecież, szanowny obywatelu Łodzi, że komunikacja nie może być zadowalająca, skoro sprzysięgło się przeciwko niej tyle nadludzkich, wrogich sił. Bo tak:

— wagonów jest za mało,

— te co są nie jeżdżą, bo nie ma ludzi,

— kiedy są ludzie to nie ma części,

— nie jeżdżące wozy nie mają gdzie stać, bo w zajezdniach ciasno,

— skoro w zajezdniach ciasno, to nie ma mowy o zwiększeniu ilości wozów — — — —. zwłaszcza że gdyby były, to zabrakłoby ludzi, a gdyby nie zabrakło ludzi, to zabrakłoby części — — i tak dalej, aż do nieuchronnego, nieodwracalnego oczopląsu. Oczywiście — całkowicie obiektywnego.

Obywatel jest od tego, żeby wszystko rozumiał, a nie narzekał i narzekał. Kiedy wracam z posolonej ulicy, buty — za głupie 800 złotych — mam całe w białe plamy, a nie lubię łaciatych butów. Cóż, nic nie poradzę, bo w całym mieście, a nawet — jak słyszę — w całym kraju nie dostanę pasty do butów. Pasta j e s t — importowana, w Peweksie, za dewizy. Krajowa też jest, ale w beczkach, w Krakowie. Po co mi beczka pasty? Ale przecież rozumiem, że brak pudełek do pasty jest zjawiskiem obiektywnym i sam umiałbym przeprowadzić cały wywód ekonomiczno-filozoficzny na ten temat.

Pasta w beczkach, tramwaje w zajezdniach. Idę sobie spacerkiem, w łaciatych bucikach, i cieszę się pierwszą od lat prawdziwą, polską zimą. —

ĆWIEK

LEWYM OKIEM

NASZA ROZMOWA

Z GRIGORIJEM GORINEM

Ponieważ nazwisko pańskie nieźle już jest znane w Polsce, chcielibyśmy wiedzieć jaka była pańska droga do literatury? Co sprawiło, że został pan dramaturgiem?

Jestem z wykształcenia lekarzem. Po skończeniu studiów pracowałem przez kilka lat w moskiewskim pogotowiu ratunkowym. Jednocześnie współpracowałem z prasą, pisywałem opowiadania i felietony. Byłem więc w pewnym sensie przygotowany do kolejnego wystawienia przez telewizję poznańską.

karz. Przyjaciele uważają, że medycyna nic na tym nie straciła.

Czymże więc jest dla pana teatr? Czy to tylko możliwość samorealizacji? Czy może coś więcej?

Nie wiem, co chciałby pan usłyszeć, ale dla mnie teatr to przede wszystkim moja praca. A jednocześnie sztuka żywej, bezpośredniej rozmowy ze społeczeństwem. Nie wiem, jak jest gdzie indziej na świecie, ale w Związku Radzieckim teatr osiągnął przewagę nad kinem. Ludzie szukają żywego kontaktu i dlatego spektakle teatralne cieszą się taką wielką frekwencją, że zdobycie biletu jest prawdziwym problemem. Myślę, że jeśli jeszcze nie jest, to będzie to tendencja ogólnoświatowa, że znaczenie teatru będzie dla ludzi rosnąć. Teatr mówi o życiu bezpośrednio i w niepowtarzalny sposób, a społeczeństwo ma już dość techniki i szuka od niej ucieczki. Dlatego teatr staje się wszystkim znowu tak bliski. Prócz tego teatr to momentalne oddanie emocji.

Ale przecież teatr nie jest zjawiskiem jednolitym?

Na tym właśnie polega jego siła. Rozwarstwienie, jakie obserwujemy w teatrze wróży mu długie życie. Można mówić o wielu teatrach: o teatrze intelektualnym, teatrze emocjonalnym.

A gdzie pan widzi siebie?

Zaczynałem jako satyryk i w pewnym sensie pozostałem sobie wierny. Mówią o tym moje kolejne sztuki: „Zapomnieć o Herostratesie" (wystawiona przez siedem teatrów w Polsce), „Dyl Sowizdrzał", którym zainteresował się Teatr Rozmaitości czy wreszcie sztuka ostatnia „Prawdomówny kłamca" zrealizowana przez Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej i przygotowywana do kolejnego wystawienia przez telewizję poznańską.

Można powiedzieć, że ma pan szczęście do Polski...

Powiem więcej. Uważam, że Polska stała się jakby drugą moją ojczyzną, bo wszystko, co napisałem, tu właśnie zostało wystawione.

Realizacji „Prawdomównego kłamcy" w Teatrze Ziemi Łódzkiej zawdzięczamy pańską wizytę w naszej redakcji. Jak odebrał pan koncepcję inscenizacyjną swojej fantastycznej opowieści o życiu barona Münchausena zaproponowaną przez reżysera Andrzeja Dąbrowskiego?

No cóż, widz przyjął sztukę ciepło, a autor nigdy nie jest obiektywny. Wprawdzie wolałbym obejrzeć spektakl na stałej scenie. Choć z drugiej strony ujęło mnie, że przyszli przedstawiciele władz partyjnych, przedstawiciele towarzystwa przyjaźni polsko-radzieckiej. Przyjęty też byłem przez władze nowego, ambitnego województwa sieradzkiego.

A pańskie wrażenia z Łodzi?

Niestety, program jest tak napięty, że już dzisiaj muszę wracać do Warszawy. I żałuję bardzo, ale z Łodzi nie mam właściwie żadnych wrażeń poza widokiem śniegu oglądanego z okna hotelowego.

To dla mnie dowód na to, że programy powinny być układane rozsądniej...

W każdym razie chciałbym podziękować polskim widzom za uwagę. Cieszy mnie, kiedy coś, co wyszło spod mego pióra, podoba się tutaj. I proszę o rozgrzeszenie, jeśli coś się nie podobało, bo staram się jak najlepiej.

A więc jaką nową sztukę pana będziemy mogli obejrzeć w najbliższym czasie?

Sporo pracuję. Przywiozłem ze sobą nową sztukę pt. „Fenomeny". Jak pan widzi używam tu liczby mnogiej, chociaż fenomen, chyba tak jak również w języku polskim, oznacza coś wyjątkowego, niepowtarzalnego. No, ale jako satyryk mam chyba prawo do liczby mnogiej, chociaż tematem sztuki jest kongres parapsychologów. Sztuka będzie miała premierę w Moskwie i Leningradzie. Pisuję także scenariusze filmowe.

A więc ceniąc tak wysoko teatr nie wyrzeka się pan programowo filmu?

Skądże znowu. Współpracuję z „Mosfilmem" i obecnie według moich scenariuszy realizowane są tam dwa filmy. To tak jakby całe moje życie było związane z „Mosfilmem". Pewnie pan się nie domyśla, ale nawet moja żona pracuje w „Mosfilmie" jako redaktorka.

A co sądzi pan o teatrze w Polsce?

Uważam, a nie jest to tylko mój pogląd, tak myśli się powszechnie w Moskwie, że polski teatr jest jednym z najciekawszych w Europie. Znam Dejmka, Hanuszkiewicza a są to nazwiska głośne w całym Związku Radzieckim. Wystawić swoją sztukę w Polsce to prawdziwy zaszczyt dla radzieckiego dramaturga. Opublikować się w „Dialogu" zaszczyt na pewno nie mniejszy. Dlatego tak wysoko cenię sobie swoją obecność w Polsce.

Dziękując nie tylko za żywą, ale i dowcipną rozmowę chciałbym prosić o zgodę na zacytowanie poglądów barona Münchausena z „Prawdomównego kłamcy": „Proszę państwa, poważna twarz bynajmniej nie świadczy o mądrości. Wszystkie głupstwa na ziemi popełniane są z tym właśnie wyrazem twarzy. Uśmiechajcie się, państwo, uśmiechajcie!"

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438 Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny. 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listono sze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 319. A-2.